



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Przepraszam,—jeszcze słówko o influenzy.

Jakkolwiek ta figlarka przestała trapić nas, hula jeszcze po Europie i nie dalej, jak za miedzą, w Galicyi np., znęca się podobno bardzo srogo nad ludźmi.

Lekarze z filozoficzną szczerością streszczają swe opinie o influenzy w krótkich wyrazach: „wiemy, że nic nie wiemy“, a przynajmniej bardzo mało.

Ostatnie telegramy z Wiednia przyniosły wprawdzie wiadomość, iż dwóch tamtejszych lekarzy znaleźć miało podobno zarazek panującej epidemii, uprzedzając w tem słynnego Pasteur'a, który zapowiedział światu, że go poszuka i zbada; ale jakoś po pierwszych pogłoskach ucichło o fakcie samym i bliższych szczegółów żadnych nie odebraliśmy dotychczas.

Z artykułu D-ra Justa, który ma dar zajmująco popularyzować naukę piórem felietonisty, dowiedziałem się o ciekawem zjawisku, że z ukazaniem się influenzy tak u nas, jak w innych krajach Europy, zmniejszyły się rozmaite choroby zaraźliwe, np. odra, ospa, tyfus i t. p.

Znaczyłoby to, iż laseczniki grypy stoczyły walkę o byt z lasecznikami innego rodzaju i wyniszczyły je zwycięzko.

Struggle for life panuje bowiem tak dobrze w tym potężnym światku drobnowidzowych istnień, jak pomiędzy olbrzymami przyrody.

Niéma tedy złego, coby na dobre nie wyszło. Przeszła przez nas influenza, ale za to wymordowała część niewidzialnych wrogów naszego or-

ganizmu i zdrowia i za tę przysługę należy jej się wspaniałomyślne przebaczenie.

Zdaje się, że i *bacillus* nudy, przez laseczniki influenzy trochę przetrzebionym został, bo jakoś ożywił się humor i animusz towarzyski w Warszawie. Balujemy i tańczymy z rosnącym zapalem; w kronice zapustnej każdy dzień teraz niemal zapisuje się balem, rautem, wieczorem hasającym; nogi i nóżeta wydeptują coraz szerszą ścieżkę dla księcia Karnawału, który w płasch świat przebiega z kieliszkiem szampana w jednej, a maseczką w drugiej ręce, dopóki się nie potknie o worek popiołu i nie przewróci.

Jedna rubryka tylko nie nabrzmiewa zbyt cyframi: rubryka ślubów i związków małżeńskich; hymen, jakby przechodził także influenzę, ospale i apatycznie spełnia swoje obowiązki. Jakoś nie słychać tak wiele, jak lat poprzednich, oskojarzonych stadach, a panienki robią *bonne mine au mauvais jeu* i udają, że nic je to nie obchodzi.

Bale publiczne udają się, jak dotąd, z powodzeniem; niéma na nich zbytniego tłoku, ale niéma i pustek; dobry smak bez kosztownej wystawności w toaletach zauważyli przysięgli sprawodawcy balowi.

Najruchliwiej krząta się około uprzyjemnienia zapust swoim członkom Towarzystwo wioślarskie. Jeszcze w roku zeszłym rozpoczęło szereg zabaw dla dzieci, którym urządziło choinkę, potem uroczystą elekcją migdałowego króla, a obecnie wymyśla co tydzień prawie jakiś pretext do towarzyskiego zebrania.

Pan Eligiusz Maliszewski, znany heliominiaturzysta, jako gospodarz zimowego lokalu, dba gorliwie o honor domu i dobrą opinią swojej gościnności; bawią się też u wioślarzy ochoczo, wesolo, tańcząc, grając, śpiewając, gymnastykują się, urządzają konkursy siły i zręczności, wieczornice dla mężczyzn, nawet bale kostiumowe dla obu płci.

Ten ostatni pomysł okazał się bardzo pojętym, bo na kilka dni przed balem rozebrano

wszystkie wolne bilety wejścia, ale nie wiem, czy pomysł ten można nazwać... właściwym.

Pisałem na tem miejscu przed dwoma tygodniami o balach kostiumowych wogóle, więc powtarzać się nie będę, jednakowoż nie uprzedzając cechy tego balu u wioślarzy, nie powiem, abym go pochwalał. Po co kusić ludzi, po co wyciągać ich na wydatki, po co tego naśladowania wielkiego świata i sfer majątnych?...

Członkowie towarzystwa wioślarskiego we frakach i tużurkach potrafią się równie dobrze, a taniej i oszczędniej bawić, niż w wypożyczonych lub, co gorsza, sprawionych kostiumach.

Chcę przypuszczać, że pewna praktyczność pogodzi oba cele: że znajdą się na balu kostiumy ładne i nie zbytkowe, ale zdaje mi się, że do dobrej zabawy w tem kółku—będą zbytuczne.

O niepowodzeniu trzeciej maskarady w tym roku wspominam tylko dla zaznaczenia faktu dotąd niebywałego.

Czyżbyśmy naprawdę zmądrzeli i doszli do przekonania, że nudzić się w tłoku, ścisku i tropikalnym gorącu, w towarzystwie bardzo mieszanem, z maskami więcej, niż podejrzaniem, nie warto?...

Oile zaś ze strony moralnej możemy sobie powinszować, iż nabieramy rozumu, o tyle ze strony praktycznej jest powód do zastanowienia się. Dyrekcyja teatrów liczy co rok na pewien dochód z balów maskowych;—w roku bieżącym więcej jej na nim zależy, aniżeli kiedy indziej, bo finansowa strona tej instytucji nie przedstawia się wcale świetnie.

Otóż, gdy takie pewne dawniej środki zawiodą dzisiaj, nasuwa się kwestya materialnej natury: jak uniknąć deficytu?

Kwestya to wielkiej wagi, kwestya żywotna, którąby mogła najlepiej rozstrzygnąć sama publiczność; niechaj nie chodzi na maskarady, ale natomiast niech chodzi częściej do teatru, niechaj zapełnia salę wielką na operze i tragedji,

i salę mniejszą na komedii i dramacie, i salkę najmniejszą na krotchwili i operetce.

Co prawda, tej ostatniej nie potrzeba robić reklamy i werbować zwolenników: ma ona ich dosyć samaprzeżsię od czasu zwłaszcza, gdy pani Zimajerowa stała się jej niewzruszonym znowu filarem.

Za przykładem *high-life'u*, który zapełnia swoje łożeczko Piątek w Teatrze Rozmaitości, poszła sfera inteligencji i zajęła dla siebie Wtorki; oile słyszałem, organizuje się trzecie kółko, które zamierza jeden wieczór w tygodniu spędzać stale w Teatrze Wielkim.

Tym wszystkim dobrym postanowieniom trzeba przyklasnąć i życzyć, aby wzór wybranych jednostek oddziałował korzystnie na cały ogół publiczności, i abyśmy, nie tylko łożę, ale i inne miejsca w naszych teatrach widzieli codziennie mniej więcej całkowicie zajęte.

Reżysserya znalazła się w pewnym kłopotcie, gdy jej piątkowi abonenci postawili z góry za warunek wybór takich sztuk, na którychby bywać mogły... panienki.

Wprawdzie zdaniem Dumasa syna, teatr nie jest rozrywką dla grzecznych i naiwnych pensjonarek—powyższe żądanie było o tyle słuszne, oile repertuar nasz w ostatnich latach korzystał z zanadto swobodnych utworów w rodzaju „Nie spodzianek rozwodowych“, lub drażliwych w temacie, jak „Odwiedziny“ Brandesa, „Wyznanie“ Sary Bernhardt, nie wspominając o „Ostatnim dniu Don Juana“ hr. Stanisława Rzewuskiego, zakończonym sromotnem *fiasco* sztuki i autora na scenie warszawskiej.

Ta „przyzwoitość“, którą sobie zastrzegli abonenci, nie powinna być jednoznaczna z „nudami“, lub ze wznawianiem sztuk w lada jakiej obsadzie, jak się to zdarzyło z „Panińskimi ślubami“ na jednym z piątkowych przedstawień, w którym rolę Anieli, poetycznej, idealnej, klasycznej dziewczyny polskiej grała po Modrzejewskiej... panna Sznage.

Melpomeno, chce mi się śmiać i płakać, gdy o tej zamianie pomyśle!...

Abonenci wtorkowi postąpili trochę praktyczniej, bo złożyli podobno reżysseryi wykaz sztuk, któreby radzi byli zobaczyć na scenie Rozmaitości.

Nie wiem, kto teraz wybiera nowalio i układa repertuar, ale ten ktoś nie ma bardzo szczęśliwej ręki, podsuwając dyrekcji sztuki, które repertuaru nie wzbogacają, publiczności nie przyciągają i po krótkim żywocie w świetle kinietów przenoszą się do bibliotecznej ciemności.

Obowiązkiem prassy nawołującej z jednej strony publiczność do bywania w teatrze i popierania sceny, jest z drugiej strony upominanie reżysseryi, aby tej publiczności, jak krowy... sianem nie karmiła.

Przecież tejsamej pracy, artystów, tychsamych starań i nakładów potrzeba przy wystawianiu złej jak dobrej sztuki — dla czegoż trudzić się i ryzykować dla gorszego celu, skoro można temisamymi środkami lepszy skutek osiągnąć?...

Czytałem w jednym z Kuryerów bardzo trafne uwagi o potrzebie reformy repertuaru i kierownictwa artystycznego sceny, które spoczywa dzisiaj w rękach samego p. Tatarkiewicza, łączącego w sobie podwójny charakter: artysty, grającego często i dużo—i reżyssera, informatora, dyrektora sceny, obdarzonego niezaprzeczonem talentem dramatycznym, ale nieposiadającego dostatecznych kwalifikacji ani odpowiedniego wykształcenia na poważnego kierownika artystycznego.

Nie powinna ta przykra prawda ubliżać p. Tatarkiewiczowi, który i tak wiele zrobił, że przez tyle lat na stanowisku reżyssera utrzymywał jednak równowagę i wszystkie swoje kłopotliwe obowiązki umiał godzić zręcznością, sprytem i intuicyą autodydakta.

Przed kilkoma tygodniami stała na porządku dziennym w wiedeńskim Burgu kwestya obsady dyrektora artystycznego; jeden z pierwszorzędnych artystów tamtejszych, p. Sonenthal, otrzymał nominacyą.

Prassa i krytyka wystąpiły śmiało i otwarcie przeciw ulubieńcowi publiczności, wytykając mu brak odpowiednich warunków i wykształcenia do prowadzenia sceny, której samą rutyną, doświadczeniem aktorskiem i znajomością repertuaru współczesnego kierować nie można w wyższym pojęciu tych obowiązków.

U nas, jak to najczęściej bywa, tej prawdy drażliwej nie chciało długi czas powiedzieć w oczy artyście, który podobnie, jak Sonenthal w Burgu, zdobył sobie popularność i sympatyą publiczności, umiał zewnętrzną stronę wystawy z pewnym smakiem i pomysłowością urozmaicać, ale dla wyższych celów sztuki przez tyle lat swej działalności nic, albo bardzo mało uczynić potrafił.

Natura lekkiego amanta kierowała po większej części wyborem sztuk w guście reżyssera, który na poważną scenę komedii i dramatu wprowadzał rzeczy przeważnie bardzo lekkie, często płytkie, aż do fars godnych wyszykania, jak np. „Zmykajmy“, „Małżeństwo, jakich wiele“ i inne.

Przewodniej myśli w tem kierownictwie, dbałości o rozwój dobrego smaku, o podniesienie poważniejszej gałęzi dramatu, o utrzymanie repertuaru na poziomie scen zagranicznych i obznajmianie publiczności z najświeższymi płodami literatury dramatycznej nie mogliśmy się dopatrzeć z roku na rok. Dopiero przykład trupy meiningenskiej i wzór takiego reżyssera, jak Chronegk, pozostawił pewien wpływ na naszej scenie, chociaż i ten zamało jeszcze wydał dobrych rezultatów. Zawsze jeszcze pod względem zharmonizowania wszystkich sił, rozruszania mas scenicznych, ożywienia całości i nadania jej właściwego „stylu“, znać brak silnej, energicznej ręki kierownika i informatora. Co prawda, trudno tego wymagać od p. Tatarkiewicza, który nie może się rozdziwić i starczyć zarówno jednocześnie na artystę, zajętego grą na scenie, i na reżyssera, kierującego nieustannie zza kulis całą maszyneryą.

Podział pracy i odpowiedzialności jest tu konieczny.

W czasach, w których los sceny zawisł od żywotności repertuaru, od dobrego użytkowania danych sił, od umiejętnego kierownictwa i rozumnego spełniania obowiązków względem sztuki i publiczności, powyższa kwestya przestaje być kwestyą osobistą, a staje się sprawą całej instytucji.

Z tego też względu pozwoliłem sobie zająć nią trochę więcej miejsca w niniejszej pogawędce.

Jakkolwiek teatr warszawski i kolej wiedeńska mają tylko jeden punkt zetknięcia w osobie wspólnego prezesa, korzystam z tej sposobności, aby z powyższego tematu przejść do krańcowo odległych spraw kolejowych, które w pierwszych dniach przyszedłego miesiąca wejdą znowu na porządek dzienny prassy naszej i obrad akcyonaryuszów kolei warszawsko-wiedeńskiej i warszawsko-bydgoskiej.

Układy z rządem o pozostawienie pierwszej z nich wszystkich transportów bez obowiązku dzielenia się niemi z koleją iwangrodzko-dąbrowską za cenę połowy zysków, nie doprowadziły do żadnych rezultatów.

Gen. Palicyn, prezes Rady zarządzającej i członkowie jej, hr. Czapski i dyr. Strassburger, powrócili ztamtąd z inną zupełnie propozycyą.

Rząd proponuje kolei wiedeńskiej, aby sobie kupiła kolej bydgoską i przyłączyła ją do swojej linii, jako odnogę Alexandryjską, zwróciła skarbowi summy, wypłacone dotychczas tej drugiej, tytułem gwarancji dla akcyonaryuszów, i dopiero po takim złączeniu dzieliła się czystym zyskiem z rządem.

Nie rozumiem się tyle na tych kombinacjach, aby w tej sprawie głos zabierać, zatem na wiarogodność „Słowa“ powtarzam jego zdanie, iż „akcyonaryusze lepiej wyjść mogą na tem, przyjmując ciężary kolei bydgoskiej z ustąpieniem połowy czystego zysku, niżeli ustępując 2/3 części, bez przyłączenia kolei bydgoskiej“.

Prawda, powiada wspomniany dziennik, że nie uwzględnione tu jest ryzyko ewentualnych niedoborów, które powstać mogą i możliwości większych, niżeli dotychczas, nakładów.

Natomiast niema wątpliwości, że przyłączenie kolei Bydgoskiej do kolei Wiedeńskiej wprowadzi liczne uproszczenia, które i oszczędności za sobą pociągną.

Mamy nadzieję, że oile oszczędności te odnosić się mogą do zmniejszenia personelu obydwu kolei, zarząd będzie je wprowadzał stopniowo, aby dzisiejsi pracownicy nie zostali niemi zanadto dotknięci.

Z tego ostatniego zastrzeżenia wyrzwała do mnie ewentualność redukcji personelu; pewna część urzędników spadłaby znowu z etatu i znalazła się na bruku: a w takim razie potrzeba będzie szukać dla nich nowego zajęcia, pracy i utrzymania, które tu na miejscu, w przeludnionej Warszawie, znaleźć niełatwo.

Na pytanie: co zrobić wogóle z tą nadwyżką głodnych żołądków, bezczynnych rąk, oświeconych głów, wszelakich specjalności bez zajęcia, które na bruku warszawskim wyczekują lepszych czasów i zmiłowania Bożego?—odpowiada w pewnej części p. Antoni Mieszkowski w artykule p. t. „Decentralizacya“, pomieszczonym przed tygodniem w „Kuryerze Codziennym“.

Autor znający dobrze sprawy prowincjonalne, dotyka tu kwestyi zasadniczej i żywotnej, wykazując nierównomierność rozwoju przemysłowego, ekonomicznego, handlowego i intelektualnego takiego centralnego ogniska, jak Warszawa, w stosunku do innych miast w kraju. Tutaj wszystko się cisnie, tłoczy, zbija w kupę i zalega miejsca, tu jedynie widzi dla siebie pole działania, zarobku i warunki bytu, tu szuka każdy wyłącznie oparcia, nie uwzględniając, że powiększa sam sobie konkurencyą na każdym kroku i w każdym zawodzie.

Jak się to dzieje, maluje p. M. dosadnie w kilku wierszach:

„Owczym pędem i szablowaną drogą idąc, zakłada się cukiernią obok cukierni, hotel obok hotelu, dwóch lekarzy sprowadza się do domu, gdzie mieszka już trzech adwokatów, i wszyscy oni, wszędzie i na każdym miejscu powtarzać będą to, co zresztą nie od dziś czytamy o braku pomysłowości, o braku inteligencji na prowincyi...“

Tymczasem dla usunięcia fatalnych skutków tej koncentracji, należałoby zastosować wręcz przeciwną metodę: decentralizować siły i materiały zdolne do pracy, do roznoszenia oświaty w najdalsze krańce, w najciemniejsze kąty naszej prowincyi. Dla zdolnych ludzi, dla chętnych robotników, dla wykwalifikowanych specjalistów znajdują się miejsca, znajduje się praca i zarobek.

„Kuryer Codzienny“ od pewnego czasu wskazuje szereg miejscowości, potrzebujących lekarzy; w następstwie przyrzeka zebrać podobny materiał dla prawników, a później dla niektórych gałęzi rzemiosł.

Dobrzeby było, aby, nie jedno pismo, ale cała prassa codzienna stworzyła taką rubrykę informacyjną, rozumie się na wiarogodnych i faktycznych danych opartą; dla wielu takie wskazówki mogłyby być bardzo pożytecznymi i przyczynić się, choć w części, do rozwiązania kwestyi, ciężkiej dziś na porządku dziennym spraw społeczno-ekonomicznych.

Wracając do Warszawy, wspomnieć winienem o dwóch jubileuszach, które odznaczono w sferach literackich i artystycznych; jeden obchodził po dwudziestu pięciu latach pisarskiej pracy i twórczości Włodzimierz Zagórski (Chochlik), drugi po trzydziestu latach nauczycielskich zasług znany artysta i krytyk sztuki Wojciech Gerson.

Zagórskiego działalność, jako Chochlika pod godłem: „Jeżeli gryzę co, to sercem gryzę“ rozwijała się głównie na niwie lwowskiego dziennikarstwa do czasu, gdy ze Lwowa przeniósł się do Warszawy i tutaj od lat kilku pracować zaczął w pismach zachowawczych jako felietonista, nowelista, powieściopisarz i krytyk literacki.

Przed dwudziestu pięciu laty wszedł w szranki dziennikarskie i stał się wkrótce filarem lwowskiej humorystyki, zabłysnąwszy talentem satyrycznym, werwą i ciętością polemiczną, śmiałem

atakowaniem przeciwnych obozów politycznych w zaciętej walce stronnictw galicyjskich.

Jako Chochlik (redagował długi czas pismo humorystyczne pod tym tytułem) sypał wiersze zaprawione zawsze dowcipem lub sarkazmem; przejął się formą Heinego taksamo, jak z wielką łatwością umiał naśladować nastrój i oktawy Słowackiego, albo gawędziarski styl Wincentego Pola, dbając zawsze o wytworność wiersza, którym szafował hojnie i na zawołanie.

Na gruncie warszawskim dopełniła się w nim zmiana zasadniczych poglądów: przyłgął do organów konserwatywnych i zaczął tworzyć więcej prozą, pisywać nowelle, powieści, recenzje, felietony.

Najcelniejszą i najszlachetniejszą wszelako stroną jego talentu, która przebijała zarówno w humorystyce, jak w belletrystyce, był nastrój poetycki.

Gdyby w ciągu swojej dwudziesto-pięcioletniej twórczości nie był Zagórski nic innego napisał, tylko swojego „Króla Salomona“, poemat liryczny w trzech pieśniach, jużby mu się należało miejsce wydatne w historii literatury polskiej. Z motywów biblijnych wysnuł motyw, z własnego serca, natchnienie i uczucie, do tej świeżej, pięknej i oryginalnej parafrazy „pieśni nad pieśniami“ wielkiego króla-kaznodziei.

Dzieło to przeżyje niewątpliwie wszystkie inne utwory Chochlika...

Drugi jubileusz obchodził Gerson, Nestor naszych malarzy, którego praca, działalność, wpływ od lat kilkudziesięciu w historii rozwoju sztuki polskiej zapisały się bardzo poważnie i bardzo dodatnio.

Bezstronna krytyka musi to uznać i hołd oddać człowiekowi prawdziwej, niespożytej zaśluzgi.

W zaraniu naszego malarstwa Wojciech Gerson stał jeden z najpierwszych i torował drogę przyszłym talentom, podnosił tę sztukę w powiśniętach, która dziś tak rozrosła się świetnie i zolbrzymiała w porównaniu ze swą przeszłością.

Nieustannie kształcił siebie i kierował młode mi siłami, wyprowadzając całe zastępy uczniów, którzy się z czasem stali nie tylko chlubą swego pierwszego nauczyciela, ale i chlubą naszego malarstwa.

Słusznie też należał mu się z ich strony ten objaw wdzięczności i uznania, jako przewodnikowi, nauczycielowi, doradcy, wzorowi pracy i wytrwałości, zamiłowania sztuki i jej ideałów.

Artystyczna twórczość Gersona liczy więcej lat od jego pedagogicznej działalności i nie ustaje wcale; streści o niej kiedyś swe zdanie krytyka poważna, tymczasem wyraz czci i pamięci złożono tylko „panu profesorowi“ z życzeniami, aby jeszcze drugie tyle talentów młodych wyprowadził ze swojej szkoły i wykształcił na pożytek naszego malarstwa...

Nauka utraciła u nas w tym miesiącu zasłużonego i poważnego przedstawiciela w zmarłym s. p. Władysławie Taczanowskim, znakomitym przyrodniku, który siedm krzyżyków dźwigał na swoich niestrudzonych barkach, a mimo to nie ustawał w pracy. Specjalnością nieboszczyka była ornitologia; ród ptasi badał od najwcześniejszych lat, opisywał w licznych rozprawach i studiach, jako też w dwutomowym swem dziele, najcelniejszym niewątpliwie w tym przedmiocie wydanem popolsku p. t. „Ptaki krajowe.“

Gabinet Zoologiczny w Warszawie, którym przez lat trzydzieści pięć się opiekował, zawdzięcza mu bardzo wiele, jako kustoszowi i kolekcyonistcie.

Nazwisko Taczanowskiego znane było zagranicą, we Francji, w Niemczech i w Anglii, gdzie w dowód uznania zaliczano go do członków honorowych rozmaitych towarzystw ornitologicznych i zoologicznych; był też członkiem Akademii Umiejętności w Krakowie. Zagraniczni uczeni nieraz gatunki zwierząt przez siebie odkrywanych lub opisywanych oznaczali, dawnym zwyczajem naturalistów, nazwiskiem nieboszczyka, w celu wyrażenia mu swego hołdu.

„Umarł dla nauki zasłużony“, — te wyrazy starczą za najpiękniejszy pomnik po śmierci“...

Quis.

KWIATY ZIMOWE.

(Dokończenie).

Legouvé nie myli się w swoich spostrzeżeniach nad życiem, pisząc, że starość mieszka w domu samotnym. Wielu dawnych domu tego współlokatorów wyniosło się — zmieniło zajmowane obok nas mieszkanie na cichszy, spokojniejszy kątek, w którym odpoczywa się dobrze, a nowi rzadko kiedy przybywają osiedlić się w pobliżu naszym. Kto przeciwieź umie to przyjmować, jak rzecz naturalną i nieuniknioną przyczyn i skutków życia następstwo, ten posiada zimowy kwiat mądrości spokojnej, która uczy godzić się dostojnie z koniecznością — bez walki, niemogącej dać zwycięstwa. Na pomoc przeciw melancholii, która przeciwieź przychodzi na człowieka, zostającego z wolna na uboczu życia, powinna przyjść filozofia, mówiąca mu, że złe i dobre — wszystko skończy się zarówno dla każdej jednostki ludzkiej, słabszej, czy mocniejszej. Takie rzeczy pojęcie ma w sobie balsam, który cierpkosć jej łagodzi, ma wielką moc uspakajającą i uiszczającą w niej żale, którą tęsknoty serdeczne: „Elle calme singulièrement“ pisze też sędziwy poeta, i dodaje jeszcze, że wszystko, co w życiu ludzkim sztuczne jest i małe — co mierzy się chwilą czasu przelotną, wszystko to zaczyna nam znikać wtedy przed wzrokiem, usuwać się na stronę wobec tej perspektywy, otwierającej się na nieskończoność. — „Zostają nam przed oczyma tylko rzeczy wielkie, tylko rzeczy życia trwałe“ — zakończy Legouvé, a w tem jego treściwym określeniu położenia zawiera się najlepsza nauka, najważniejsza rada, jaką można dać starości.

Należy jej się oderwać poważnie od zabiegów życia lichych i drobnych, złączonych z drobnymi sprawami, z drobnymi interesami istnienia ludzkiego na ziemi — z tem wszystkiem, co Salomon ogarnął razem, wołając: — Próżność próżności i wszystko próżność... Powinna też mieć na to „Jowiszowe brwi zmarszczenie“, ale trwać jej się godzi, trwać jej potrzeba przy zasadniczych ideach ludzkości, przy wielkich uczuciach, bijących w łonie człowieka, w łonie jej społeczeństwa — przy tem „co myśl wieku waży w głębi.“ Starość, która to w sobie zatracza, albo już jest niedołączną i zapada w martwość śmierci, albo samolubna przestaje brać do serca, do umysłu to, co mieścić się już nie może w zakresie jej osobistego interesu.

Starość, w ten sposób zubożniała dla życia, toczącego się obok niej, staje się też z konieczności obojętną ludziom, którym życie to pierś przenika i zaczyna wytwarzać się między nią a nimi przepaść, niemniej głęboka, jak grób, w który ją kiedyś położą. Opuszczają, odwracają się — zapominają powoli o tej istocie, z którą nic ich nie łączy, skoro ona nic z nimi nie dzieli. Z takich też ludzi tworzą się w kolei lat mumię żywe i kara za życie w egoizmie, w miłości swego ja pogrążone, zostaje wymierzoną ciężko starości samolubów, a jakaż próżnia okrutna, jaka próżnia bolesna tworzyć się musi w piersi zimnej, współczuciem miłosnym dla ludzi i ich spraw nieprzejętej, gdy życie na własny rachunek używania już się kończy, a serce nie może nderzyć dla tego, co jest dobrem ogółu, co jest interesem kogoś innego, niż my sami?

O takich to ludziach myśląc, pisze Legouvé: — „Dobrze jest sąsiadować z pewnemi niebezpieczeństwami“... Myśl o starości powinna uczyć

nas, że trzeba zaskarbić sobie na tę porę zimy coś zasobu, nie tylko materialnego i nie tylko złożonego w miłości ludzkiej dla nas. Starość, oprócz pewnej pomocy, pewnego wsparcia, którego-by jej użyczali ludzie potrzebuje jeszcze i ludzi tych kochać, aby nie czuć się nieszczęśliwą przez zerwany związek z tem, co ją otacza. Kto zdoła brać udział żywy w sprawach kogoś drogiego mu — w sprawach swego społeczeństwa, w sprawach świata, tego starość ma jeszcze serca drgnienia żywe — ma nadzieje, wiary, miłości, przez które wiąże się z chwilą czasu swego i nie jest jeszcze tym upiorem, o którym nasz poeta, Mickiewicz, woła: — Jeszcze na świecie, lecz już nie ze światem. Wtedy to starość nie potrzebuje być i nie jest samotnością okrutną, nie jest przebywaniem w pustce — w domu bez współmieszkańców!.

Najszlachetniejszym przeciwieź i wysokopiennym kwiatem zimy człowieka, jest przechowana w uczuciu, w myśli, w pragnieniach dla przyszłości młodość ducha. Ten się nie starzeje, bo jego prawem jest nieśmiertelność i tak jest, jeżeli opie ramy się na rzeczach, mających trwanie swoje poza naszym istnieniem osobistym i można też, zapożyczając nuty od naszego śpiewaka młodości, który nazwał ten moment życia ideałem „wiary, cnoty“ — zawołać:

Święć się! święć się wieku młody,
Przez moc uczuć i zapału —
Ty kochanków ideału
Na czarowne spraszasz gody.

A kto usta raz napoi
Bijących tam krynic miodem:
Hippokreną tamtych zdroj,
Ten na zawsze będzie młodym.

Choć nad czołem włos zbieleje
Wiek mu serca nie wyziębi,
Tylko skupi i pogłębi
Młoda miłość i nadzieje.

M. I.

HENRYK STANLEY.

(Dokończenie).

Stanley podaje rozległość tego pierwotnego lasu na 266.000 mil angielskich. Jest to płaszczyna, rozciągająca się wzdłuż rzeki Konga z południa ku północy ponad rzeką Aruwimi i dalej w kierunku tego strumienia wody z zachodu ku wschodowi, między 29 a 40 stopniem długości wschodniej. Jak daleko ciągnie się on w kierunku północnego biegu Konga? Stanley nie wie. Jest on w ogóle skąpy w opowiadaniu szczegółów przebywania swego przez owe państwo prastarej roślinności i nawet czynią mu z tego powodu ważne i poważne zarzuty. Czy mógł bez użycia siekiery przedzierać się przez las taki z licznym orszakiem swoim? Czy mógł wyżyć z zapasów, które ze sobą zabrał bez zaopatrywania się w żywność posilniejszą, niżeli dziki owoc, orzechy i porosty gąbkowate, jak to w pamiętniku podróży pisze? Czyż wreszcie nie znalazł nigdzie wśród tych lasów wsi murzyńskich — jakichś osad owych karłów i olbrzymów, o których tylko kreśli wyrazy tak ogólnikowe, tworząc z nich przez to przed wyobraźnią czytelnika niby obraz widziadeł strasznych, ukazujących się na tle tej pierwotnej, pospęnej natury, z którą tak ciężko pasować się musiał?

Stanley pisze, że przez pierwsze trzy tygodnie, posuwając się wzdłuż wybrzeża rzeki, ani dnia jednego odpoczynkowi nie poświęcił. Zbiegło mu wkrótce dwóch ludzi; potem umarł jeden, aż w końcu Sierpnia spotkano karawanę, którą prowadził murzyn, zostający niegdyś w usługach ka-

pitana Speke, i ten odciągnął od niego 26 ludzi. Posiadane jeszcze zapasy zmniejszały się w przerażający, ostatecznym głodem straszący sposób: sam tedy Stanley pozwolił odejść 56 ludziom. Wkrótce potem musiano też żywić się tem tylko, czego dzika, okrutna natura tych okolic użyć mogła — a oddychano przytem wciąż powietrzem tak wilgotnym i zastałym, jak w cieplarniach, mającym od 25 — 30 stopni ciepła. Z wielką boleścią widzieć też musiał w końcu, jak ludzie jego, przybywszy do Kilonga-Longa, sprzedawali z nędzy broń i wszelkie wartości posiadane.

Kiedy ruszono znowu w drogę, reszta drużyny była tak wycieńczoną przez głód i trudy przebyte, że musiano porzucić 70 pak mienia posiadanego i łódź niezbędną potrzebą wyprawie. Nakoniec 5 Grudnia skończył się ów las straszny, ale i tu krajowcy stawiali się wrogo i trzeba było walczyć. Wyprawa zatrzymała się; zajęta wieś zamieniono w obóz obronny i Stanley wysłał ludzi po ową łódź zastawioną w tyle, a gdy znaleziono się znowu w jej posiadaniu, zdawało się, że najgorsze próby już minęły, bo błękitne zwierciadło wód Albert Nyanza połyskiwało w oddali. Lecz zagroziły wyprawie drogę próby cięższe jeszcze. Stanley zachorował na zapalenie kiszek, miesiąc cały leżał powalony niemocą, a razem przymusowy ten odpoczynek wyniósł siedm tygodni czasu. Na szczęście, ludność okoliczna złagodniała i gdy Stanley przemysliwał nad przyczyną zmiany, jeden z naczelników okolicznych przybył z wieścią od Emina Baszy.

Wzywał on Stanleya, aby na południowo-zachodni brzeg jeziora — do Kawalli przybył i tam go czekał.

Było to d. 20 Marca. D. 29 Kwietnia o godzinie 5 popołudniu parowiec Emina ukazał się na jeziorze i w parę godzin potem nastąpiło spotkanie. W orszaku Emina był stary, dzielny Włoch, Garybaldecyk Casati.

Pierwsza wiadomość, przysłana o tem przez Stanleya do Europy komitetowi ratowania Emina, doszła tam d. 28 Sierpnia 1888 r. Zawierała ona dwa ważne szczegóły: Emin ociągał się z opuszczeniem powierzonej rządowi jego prowincyi, a w wojsku egipskiem, na którym się opierał, widocznym było wrzenie, jeszcze głuche, ale coraz rosnące. Emin przedstawił przeciw uwadze Stanleya, że ma wojska tego 8.000, a wraz z kobietami i dziećmi 10.000 ludzi, których w żaden sposób opuścić mu się nie godzi bez wyraźnego z ich strony odstępstwa: cóż więc, uchodząc ztąd, mógłby z nimi uczynić? — Zabrać ich ze sobą? — brzmiała odpowiedź Stanleya, lecz Emin odpowiedział, że rzecz jest niemożliwą. Aby karawana taka wyruszyć mogła z miejsca, trzeba było na to całego zastępu tragarzy, którzy niesliby kobiety i dzieci, ale Stanley upierał się przeciw. Zanzibarytki, znajdujące się w jego orszaku, szły pieszo i przewędrowały tak wskrós całą niemal Afrykę; dzieci można było usadowić na osłach, których miano 200. Zrazu pochód taki będzie bardzo powolnym, ale z czasem przyzwyczajenie da wprawę, jak on sam doświadczył tego na sobie.

Ze swojej strony żołnierze egipscy odezwali się z tem śmiało, że chętnie przyjmą uwolnienie ze służby, co, jak Emin pisze, było zaznaczeniem końca jego władzy nad nimi i wykazywało, że nawet odwrót na czele ich dokonany był niemożliwym. Węzły urzędowe między nim a nimi pękały zatem, ale względy czystej już ludzkości nie dały mu opuścić ich. Zostawieni sami sobie rozpoczęli spory o podział resztek pozostałych zapasów; chciwość i ambicja niektórych, chcących uczynić się naczelnikami, sprawia, że nędzna ta tłuszcza częścią się wymorduje, częścią popadnie w nędzę ostatnią. Casati popierał to zdanie i trwał przy Eminie, którego opuścić nie chciał, cokolwiek-by spotkać go mogło i wtedy Stanley oświadczył, że i on uczyni to samo. Trzeba mu było przeciw do obozu w Jambuga, do Barttelot'a wrócić i wraz z nim, jeżeli uczynić to zechce, los swój z losem Emina połączyć, sprowadzając obok tego owe 600 pak, które w obozie pozostały, statkami przez jezioro Alber-

ta. Nie wiedziano wtedy jeszcze, że pochód Mahdistów zwrócił się w te strony; w prowincyi Równika panował dotąd pokój i porządek, przez władzę Egiptu ustanowiony.

W d. 25 Maja wyruszył Stanley w powrotną tę drogę. W Sierpniu, d. 17-go, dowiedział się, nie podaje w jakiej miejscowości, że Barttelot zginął, że orszak jego został rozproszony, że z 257 ludzi zostało tylko 71, przeciw zdatnych do służby było tylko 51, i to podejrzanych. Zanim Stanleya wieści te doszły, pisał on poprzednio do Barttelota z twierdzy Bodo, że jest wsi, palisadą otoczonej, że wraca do niego. Twierdza owa nad brzegiem rzeki Aruwimi jest od Kawalli w kierunku zachodnim od Albert Nyanza na 120 mil ang. odległą, co znaczy 77 godzin marszu karawanowego; od Jambuga zaś w prostym kierunku na wschód o 527 mil ang. czyli o 352 godzin pochodu. Cała więc droga, którą Stanley odbył powrotnie w 170 dniach, od 28 Czerwca do 14 Grudnia 1877, wynosi 647 mil ang. czyli 1.091 kilometrów przestrzeni. Jest to tak daleko, jak naprzykład z Hamburga do Genui. Ze zaś Stanley z karawaną swoją 160 dni przebywał ów wielki las pierwotny, którego dzikie obrazy tak malowniczo kreślił, zatem przemierzył on krokami swemi przestrzeń mniej więcej taką, jaka odpowiada rozległości Europy, wziętej wszsz. Dość tego, pomijając już inne strony przedmiotu, aby przyznać, że Stanley dokonał rzeczy, można powiedzieć, niesłychanej.

Powrotny marsz Stanleya w górę Albert Nyanza do Kawalli z arabskiej osady Kasurro (w Karague) od d. 5 Sierpnia zeszłego roku, przedstawia mnóstwo zajmujących i w najwyższym stopniu wyobraźnią uderzających faktów. Szybko zgromadził on szczątki wyprawy i ruszył w stronę Albert Nyanza, z powrotem do Emina, przy którym też pozostał towarzysz jego wypraw, Jephson. Wielką dbałość Stanleya o podwładnych mu ludzi — troskliwość, w której można dopatrzeć dobroci serca — wykazuje się tu przez fakt, że zabrał ze sobą wszystkich owych biedaków. Później wprawdzie musiał ich porzucić, a głód i walki z krajowcami dziesiątkowały nieszczęśliwych, aż za wstawieniem się Stanleya oddział furazerów Emina zwrócił się w stronę ich przebywania i większa ich część uratowana została.

Stanley w powrotnej swej drodze do Emina przebył też trudów i niebezpieczeństw niemało. Przebywano dzikie zarośla, kraj karłów Wambutti, i dopiero d. 20 Grudnia dostano się do Bodo, gdzie towarzysz Stanleya porucznik Stair przez siedm miesięcy czasu dzielnie się trzymał. Przecież od Emina i Jephsona nie było żadnych wiadomości i dopiero w połowie Stycznia 1889 roku dotarł Stanley do brzegów Albert Nyanza i dowiedział się wielkich zmian, zaszłych w stanie prowincyi Równika. Dnia 7 Listopada załoga w Dufie, miejscowości położonej na północ Wadelai, zbuntowała się i Emin wraz z Jephsonem zostali więzieni do niewoli przez rokoczan, którzy jak można się było domyślać z pewnych okoliczności, żywili oni gorącą chęć pochycenia również i Stanleya. Powstanie to przeciw władzy Emina Baszy nie było wywołane przed Mahdistów i dopiero potem zjawiała się partya Derwiszów, wzywająca go do poddania się. Oddział wiernie przy nim trwającego wojska wysłańców Mahdi'ego pochwylił i w niewoli zatrzymał, niemniej nieprzyjacieli opanował punkt ważny między Lado i Wadelai i wtedy wojsko egipskie podzieliło się na dwa stronnictwa: odstępców i wiernie przy Eminie stojących, przeciw panowanie jego w powierzonej mu prowincyi stało się teraz niemożliwym i tylko wiernie mu pułki zrobili tyle, że wypuszczono go z więzów i wraz Jephsonem na wolnej stopie do Wadelai odstawiono. Wtedy Jephson dał znać Stanleyowi o stanie rzeczy, donosząc zarazem, że silne oddziały Mahdistów nadciągają i że stał się koniec rządowi Emina w tych okolicach.

Tymczasem Stanley wysłał drugostronnie do Jephsona list z kategorycznie do Emina zwróconym zapytaniem: czy chce, lub nie służbę egipską i powierzony jego rządowi kraj opuścić? Wkrótce potem (6 Lutego 1889 r.) przybył do Stanleya

Jephson, a zaraz potem Emin Basza, który widział nakoniec, że z resztą wiernego mu wojska już się Derwiszom opierać nie może. Z 8.000 wojska, którem dowodził, zosłał mu teraz orszak 240 wiernych ludzi. Przecież officerowie rokoczan jeszcze czas jakiś prowadzili żywe rokowania z Eminem i Stanleyem. Stał tu na czele Selim Bey, officer gwardyi Emina w stopniu majora, który obiecywał przywiezienie do Kawalli wojsk, wiernych jeszcze Eminowi.

Stanley pierwszy dojrzał w tem podstęp zdradliwy. Emin chwiał się; los tych pozostałych w Wadelai stronników prawej władzy, którym powinien był dać pomoc do wyzwolenia się z pomiędzy rokoczan, niepokoił go i sumienie jego jakoby winą niedokonanego obowiązku obciążał. Trzeba też było zdobyć się na krok stanowczy. Jephson oświadczył mu, że w takim razie Stanley będzie musiał ze względów na własne bezpieczeństwo uwięzić go, a Emin, który widać rad był odpowiedzialność z siebie zrzucić i kompromis pewien z sumieniem swoim tylko przeprowadzał, odparł lakonicznie: — Oporu przeciw temu stawiać nie będę...

Tymczasem też wśród oddziału wojska, przebywającego przy jego boku w Kawalli, zaczęły się pokazywać pewne oznaki budzące podejrzenie co do dłuższej ich wierności, i Stanley wystąpił na własną rękę ze środkami surowej dyscypliny i groźbą śmierci wobec poszlak zdrady. Najzuchwalszych kuto w kajdany i przeprowadzano karę chłosty, a było tego razem, jako załogi, 134 żołnierzy, 84 kobiet, ich żon, 187 służebnic, 109 dzieci, obok 350 tragarzy. Wraz z orszakiem Stanleya tworzyło to oddział 1.500 ludzi i d. 10 Kwietnia 1889 r. wyruszyła ta massa cała, z Eminem, Stanleyem i Jephsonem na czele, z Kawalli.

Kość losu została ostatecznie rzucona. Prowadzenie białego człowieka nad krainą podrównikową brało na teraz ostateczny koniec i w dziele cywilizacji Afryki stawała się wielka szczyrba. We dwa dni potem Stanley zachorował i karawana tego odwrotu musiała się zatrzymać, w Mozamboni przez 28 dni obozem się rozłożyć. Gdy Stanley podnieść się już mógł, ruszono dalej: przebyto góry Balagga, przyczem zwiedziono kilka utarczek z pokoleniem murzynów Warasura. W końcu Maja wyprawa dosięgła jeziora, a któremu on dał nazwę Albert-Edward Nyanza, to jest jezioro Alberta-Edwarda. Dalszy pochód ciągnął się wzdłuż południowego brzegu Wiktorya Nyanza. D. 22 Sierpnia dotarło do stacyi misyjnej Ussambiro nad brzegiem wspomnianego jeziora. Ztąd pochód kierował się wciąż w stronę Taboru — w stronę płaszczyzny Unyamuezi. W d. 11 Listopada, w 188 dni po wyruszeniu z Kawalli, dostano się do niemieckiej stacyi Mpuampua, a teraz odwrotny orszak Emina liczył 294 osób, a wśród tego było 59 dzieci, prawie wszystko sieroty po officerach egipskich.

Ile było kobiet i dzieci, należących do żołnierzy, nie wspomina wcale żaden z listów.

Europejczyków, a raczej ludzi europejskiej cywilizacji, liczyła wyprawa oprócz Stanleya, Emina i jego córki, głów kilkanaście, a mianowicie: Stair, Nelson, Montenay, Jephson, Dr Parke, Bonny, Hofmann (missyonarz protestancki) Casati, Marco, Tunetańczyk Hassan, aptekarz i dwaj katolicy kapłani: Girault i Schintze z misyji algierskich.

D. 5 Grudnia (1889) karawana dociągnęła do stacyi nadbrzeżnej Bagamojo; poprzednio jeszcze spotkano się na kilka dni pierwiej z wysłanym przez majora Wissmanna oddziałem, niosącym wyprawie posiłki w żywotności i odzieży. Tu, w Bagamojo, spotkał Emina przypadek, dotąd groźny w następstwach swoich: spadnięcie z balkonowej platformy.

W głównych tylko zarysach swoich skreślonym tu został pochód Stanleya dla połączenia się z Eminem Baszą i wyprowadzenia go z dalekich podrównikowych krain Afryki. Trzy lata trwała ta epopeja, ale są tu inne jeszcze rzeczy, godne uwagi i wyższego znaczenia, niż losy jakiegokolwiek osobistości pojedynczej — wyższego dla ludzkości interesu: a to geograficzne i przyrodoznaw-

cze odkrycia, które przytem dokonane zostały, — rozświecenie wiedzy naszej o planecie, którą zamieszkuje ród ludzki.

DRUGIE POKOLENIE

POWIEŚĆ ORYGINALNIE NAPISANA

przez

M. GAWALEWICZA

(Dalszy ciąg).

W salonie, na uboczu, przy stoliku, oblany dużym kręgiem światła porcelanowej lampy z olbrzymim abazurem, siedziała Liza i przeglądała pisma ilustrowane, nie wtrącając się do rozmowy, którą prowadziła jej bratowa z przystojnym brunetem, średniego wzrostu, w adwokackim fraku, trzymającego dużą skórzaną tekę na papierze w jednej a zgrabny melonik granatowy w drugiej ręce.

Pani Wanda była żywym kontrastem Lizy; płowa blondynka z ciemnymi oczyma, ruchliwa, drobna, z zadartym nieco noskiem, z wiecznie uśmiechniętymi ustami, z główką dziewczynki na torsie kobiety, po której poznać było trudno, że jest matką dwojga dzieci i mężatką od lat sześciu czy siedmiu.

Wesołego usposobienia, dowcipna, czasami nawet kostyczna, lubiła mówić dużo i być słuchaną, miała zręczność kobiet światowych w zmienianiu tematów i mieszanii ich w rozmowie, która nabierała przez to rozmaitości, choć traciła często na logicznym i jednolitym związku.

Są głowy, w których myśli przesuwają się, jak figury na szachownicy; u jednych mają powolne, z pola na pole zaledwie sięgające posunięcia pionków, u drugich szybkie, błyskawiczne, ale skośne rzuty laurów, u innych ciężką po jednej linii posuwistość wież, a tylko w wyjątkowych umysłach pewność, swobodę i wielostronność ruchów królowej.

W główkach kobiecych zaś bardzo często myśl robi konikowe skoki, na trzecie pole, w niespodzianych zwrotach i atakach, w nieobliczonych posunięciach, które odrazu zmieniają całą sytuację.

Tęgo rodzaju główkę miała pani Wanda, z tą rozmową jej przybierała też najczęściej charakter tych konikowych skoków na szachownicy.

W ciągu dziesięciu minut, które spędziła w salonie z panem mecenasem Grzysieckim, radcą prawnym największych fabryk i najbogatszych towarzystw akcyjnych, zdołała poruszyć dziesięć rozmaitych przedmiotów w mieszaninie zapytań i odpowiedzi.

— Jakieście się bawili u Fabrycy?... żona podobno miała wspaniałą toaletę?... piórami ubierany przód?... czy być może?... to coś nowego, nie mówiła mi o tem. A zdrowa?... mam nadzieję, że nam państwo nie odmówicie na przyszły czwartek, prawda?... będziemy mieli kilka osób, no lepiej powiedzieć kilkanaście, to się tak mówi, — będzie ze sto, jeżeli nikt nie zawiedzie. Wyobraź pan sobie, żeśmy poprostu nie mogli dorwać się do własnego wieczoru, ciągle gdzieś u kogoś jakiś raut, jakiś bal, a to to, a to owo, — nareszcie powiedziałam sobie: czwartek i róbćcie sobie, co chcecie, byleście u mnie byli!... Ale dlaczegoż to pan we fraku?... po formie?... Przecież nie z sądu o tej porze?... Miałeś pan jaką konferencję?... ach, mój Boże!... mecenas pewnie nie po obiedzie do tej pory?... co?... przyznaj się, mój mecenasie. Każę panu co podać natychmiast, nie?... nie chcesz pan?... dlaczego?... mój drogi panie, przecież u mnie nie będziesz pan robił ceremonii

Klima się na mnie nie pogniwa, że jej męża nakarmiłam, chociaż my żony nie lubimy przy obiedzie najedzonych mężów. Państwo zawsze jadać o siódmej?... my teraz o godzinę wcześniej, bo do teatru trudno się wybrać.

W ten sposób, nie pozwalając prawie przyjść do słowa swojemu gościowi, młynkowała niestrudzone językiem, uśmiechała się wesoło, odbierała mu ze śmiechem to kapelusz, to tekę z rąk, mówiąc: „dajże pan to, połóżże pan kapelusz!.. Karol zaraz przyjdzie, jest w swoim gabinecie, poszli z baronem na cygaro“.

Pan mecenas łączył w sobie wytworność salonowca z powagą kapłana Temidy; zaliczano go do najtęższych głów prawniczych, nabitych pandektami, kodexami i paragrafami, miał opinią sprytnego i zręcznego adwokata, który sam sobie zawdzięczał całą karierę i umiał zasłużyć na nią.

Z niepozornego akademika wyrósł na powagę w swoim zawodzie. Poszczęściło mu się; znalazł poparcie, należał do tych wyjątków, na których się w porę poznano.

Kilka większych spraw przeprowadzonych gładko wyrobiło mu rozgłos i wzięcie.

Instykt poprowadził go szybko dalej po drodze powodzenia.

Majątku nie zrobił, ale dochody miał bardzo znaczne i żył na wielkiej stopie z próżnością parweniusza, któremu zasmakowało wygodne i wystawne życie.

Stosunki w sferach przemysłowych, w świecie arystokratycznym, w sferze milionów i tytułów zawróciły mu trochę głowę, miał minę znużoną człowieka, którego własna wielkość i własne powodzenie przygniata.

Zdawał się poświęcać dla klientów, umęczony ich sprawami i interessami, które płać i rozplątywać musiał swym geniuszem adwokackim. Na świat patrzył przymrużonymi oczyma z wysoka, z tą jakąś pobłażliwością i lekceważeniem wielkiego człowieka, dla którego nic nie było godnym jego wyjątkowej uwagi.

Zmanierowany w ruchach i w mowie, miał tę przesadną nieco dystynkcyę, co-to podtrzymywaną sztucznie wyklucza większą swobodę i naturalność w towarzyskiem obcowaniu.

— Czy uważacie, — mówiono o nim — jak ten Grzysiecki chodzi na sprężynkach, a kiedy się odzywa, to jakby sumę celebrował?

— Rozumie się, w pałacowej kaplicy wobec samych książąt i markizów, — odpowiadali złośliwie inni.

— Zarozumiałec.

— Pyszałec.

— Ale tęga głowa! — dodawano zawsze na końcu, — chociaż frak nosi tak, jakby zamiast guzików miał na nim poprzyszywane same ordery, a w lakierkach chodzi, jak na koturnach.

Z domem młodych Fattów, po za interessami prawniczej natury, wiązały go stosunki zażyłości; bywali u siebie; obie panie pomimo różnicy wieku, o której pani Klementyna Grzysiecka, matka czterdnastoletniej córki, nigdy nie wspominała, przyjaźniły się z sobą i były na „ty“.

Mecenasostwo należeli nawet do najściślej-szego kółka znajomych „bez ceremonii“, oile na to dystygowana godność Grzysieckiego pozwalała.

— Opowiedz-żeż mi pan cokolwiek o balu u Fabrycy, — nalegała w rozmowie pani Wanda — podobno cały świat tam był, młody i stary. Czterdzieści wieków i czterdzieści milionów zebrało się w jednym salonie. Mój panie, bardzo jestem ciekaw!.. Toalety świetne?... a kolacja?... cóż było na kolacją? — na prawdę podawali sterlety?... O tych sprowadzanych sterletach tydzień naprzd rozpowiadali po całym mieście, jakby to były wieloryby!..

Roześmiała się sama z tego porównania.

— Prawda, wielorybów się chyba nie jada, bo tranem pachną. A co dawali na końcu: piramidy czy bomby?

Grzysiecki wzruszył ramionami i zrobił minę, jakgdyby chciał odmruknąć:

— Zkądże ja mam wiedzieć o tem?... co mnie takie drobnostki obchodzić mogą?

— To pani wszystko szczegółowo opowie moja żona — odparł głosem cedzonym z charakterystycznym naciskiem na wszystkie spółgłoski syczące i szeleszczące.

— Tak, ale ja chcę przed tem dowiedzieć się coś od pana. Przyjdzie Karol i zaraz swoim zwyczajem zabierze się we dwójkę, że już was oko ludzkie oglądać nie będzie przez cały wieczór. Co wy tam macie zawsze tyle do gadania ze sobą?...

— Interessa, łaskawa pani.

W ustach pana mecenasu słowa te brzmiały: „interessa, łaskawa pani“, a towarzyszył im ukłon i spojrzenie tak pełne godności i dystynkcyi, że pani Wanda aż w swoim ferworze ochłodziła.

— Zawsze tylko jedno i to samo — rzekła z grymasem dziecięcym na ustach — ciągle te interessa i interessa! Muszę ja kiedy podglądać przez dziurkę od klucza: co wy tam robicie w kantorze przy drzwiach zamkniętych.

— Robimy pieniądze — odparł Grzysiecki, skrzywiwszy zaledwie wargi uśmiechem nad swym dowcipnym dwuznacznikiem.

— I dziś będziecie robili także?

— Niestety!... nawet dłużej, niż zwykle, bo chodzi o same grube banknoty. Mamy ważne układy do pokończenia — dodał z dyskretną miną radcy prawnego — pan Karol to pani potem sam opowie.

— Oho!... nie myśl pan o tem; ja nigdy nic nie wiem o jego interessach. Albo on mi się zwierza z czegokolwiek!... nigdy!... Pamiętasz pan, kiedy sprzedawał wieś naszą, to jest moję, po papie, nic mi nie powiedział, dopiero gdyście mi tam coś dawali do podpisywania... Co prawda, może ma słusność — rzekła ze śmiechem — że się mnie w niczem nie radzi. Ja się nic a nic nie znam na tem wszystkim. Uwierzysz pan, że ja wszystkiego coś raz czy dwa razy byłam w naszej fabryce?... i to kiedy się dziadzi zachciało koniecznie założyć jakąś tam ochronkę dla dzieci robotników. Byłyśmy z Lizą na poświęceniu. Ale, ale... mam do mecenasu prośbę!... musisz nam pan naszkicować ustawę. Klima nic panu nie mówiła?...

Grzysiecki zaprzeczył ruchem głowy.

— No, patrz pan, to dopiero rozżargniona kobieta!... zakładamy jakieś szwalnie, czy szkołę dla sług, czy coś takiego — mówiła niby poważniejszym tonem — ja dobrze jeszcze wszystkiego nie wiem, ale się dowiem w tych dniach, bo mnie mają zaprosić na główną opiekunkę!.. Cóż pan na to?... zaraz na początek urządzimy bal w Resursie na ten cel dla zebrania trochę pieniędzy. Pójdziecie, prawda?..

Grzysieckiemu widocznie było śpieszno, bo spojrzął na swój gruby złoty zegarek z emalowanymi cyframi na kopercie.

— Będę musiał pożegnać szanowną panią — rzekł, przerywając wzbierający znów potok wymowy pani Wandy — ale czas mam ograniczony a chciałbym z mężem pani rozmówić się jaknajśpieszniej.

Nie pozwoliła mu odejść.

— Czekaj pan, ja poszłę po niego. Wiluś!... Wiluś!... poproś-no tatkę do salonu, powiedz, że pan Grzysiecki ma pilny interes do tatusia.

Chłopak w podskokach przebiegł salon, a za nim naśladowca brata we wszystkim i nieodstępna jego towarzyszka, Tonia.

Matka pochwyliła ją po drodze, uniosła w górę i szamoczącą się w powietrzu dziewczynkę całować zaczęła, wołając:

— Nie puszczać, nie puszczać!... zostaniesz przy mamusi i już!... Patrz-no pan — mówiła dalej, pokazując Tonie Grzysieckiemu — co to za tłusta klucha się z tej dziewczyny zrobiła!... ja jej już długo udźwignąć nie mogę. Cicho Tonia, nie mażać się, cóż to znowu!... zaraz pójdiesz do kąta!..

— Nie cię do kąta! — oponowało dziecko, składając usteczka w podkówkę i piastki podnosząc do załzawionych już oczu — oie do Wilusia, nie do kąta!..

Matka spuściła ją na ziemię.

— Idź, jesteś niegrzeczna!.. czekaj, nigdy więcej nie przyjdiesz bawić się z mamusią do salonu. Brzydka Tonia!..

Dziewczynka nie słuchała już tych słów, bo na swoich krótkich, pulchnych nóżkach potoczyła się

szybko ku drzwiom, przez które wybiegł jej brat starszy, a w których za chwilę ukazał się Karol z baronem.

— Dobrze, że wreszcie panowie wracacie—powitała ich pani Wanda—musiałam mecenasa siłą zatrzymać, bo inaczej byłibyśmy z Lizą pozasypany tu, opuszczone.

— No, toby było trudno—wtrącił mąż—dochodziło przecież aż do mego gabinetu twoje niestanne: tyr-tyr-tyr... prawda mecenasie?... jak się moja żoneczka rozgada, to niczem budzik elektryczny.

Mówił to z odcieniem żartobliwości, ale pani Wanda zarumienila się po same uszki i, przyskoczywszy do niego z udaną passyą, ale z czułością zarazem, schwyła go swojemi drobnymi rączkami za faworyty, wołając;

— Ach, ty brzydalu!.. coś powiedział?... zaraz mi powtórz, nol. ja jestem budzik!... poczekaj!..

Wyszczerzyła do niego swoje drobne ząbki, jakby go ugryźć chciała za karę, i tupiąc nóżkami, powtarzała z prokorą rozgniewanej pensyonarki:

— Zaraz odwołaj, zaraz odwołaj!..

Potem odwróciła się od niego ze śmiechem, i kiwając swą główką dziecięcą, z rezygnacją rzekła:

— Choć prawda, co to pomoże, że on odwołał.. moja opinia się nie zmieni. Cały świat już wie, że ja jestem z rodu Gadulski. Albo to co złego!.. mnie z tem dobrze, a kto nie chce, może sobie nie słuchać, prawda, panie mecenasie?

Karol, korzystając z odwróconej uwagi swoich gości, podszedł do siostry, zajętej zawsze jeszcze przeglądaniem dzienników i, nachyliwszy się do niej przez stół, rzekł prawie szeptem:

— No, przygotuj się na ważną rozmowę z baronem.

Dziewczyna podniosła na niego oczy, jakby ze snu zbudzona.

— Apcio oświadczył mi się o ciebie. Winszuję pani baronowej!..

Po twarzy Lizy przemknęło nerwowe drgnienie, jakby ją iskra elektryczna dotknęła. Chciała coś odpowiedzieć, ale brat dał jej szybko znak, aby milczała, i odszedł od stołu, pozostawiając ją pod wrażeniem tej nowiny, jakby zdrętwiałą; spuściła znowu głowę i zdawała się czytać dalej z twarzą nieruchomą, obojętną napozór, chociaż pierwszą jej podnosiła się szybko i pulsa żywiej tętnić zaczęły.

Po kilku chwilach wstała nagle i wymknęła się z salonu.

Pobiegła aż do ostatniego pokoju za garderobą bratowej i tam, pociemku przysiadła zdyszana w kącie na jakimś kufrze przy oknie, rękoma zakryła twarz, i pewna, że jej tu nikt tak łatwo nie wysledzi, pogrążyła się w myślach, które się naraz rozchwały w jej głowie.

— Pani baronowo! — brzmiały jej w uszach z dziwnym naciskiem wypowiedziane słowa Karola—baronowo!..

Jednak nie ten tytuł wyprowadził ją ze zwykłej równowagi i spokoju, który dla świata, nawet dla najbliższych w rodzinie, był jedynym wyrazem czytelnym na tej dziewczęcej twarzy, sfinkowo zimnej i jak z marmuru wykutej.

Do szesnastego roku uważana za dziecko, rosła odosobniona w domu rodziców i rozwijała się w ukryciu, pod okiem nauczycieli i guwernantek, wśród książek, które ją otaczano, w tym ja kimś szarym zmrzku domowej samotni, pozostawiona własnemu rozmyślaniu i nauce.

Po skończeniu edukacji, odrazu wprowadzona w świat, na salony brata, przy boku bratowej, tą nagłą zmianą uczuła się ogłuszoną i onieśmieloną jeszcze bardziej. Przywykła była od dzieciństwa wszystkie swoje myśli, uczucia i wrażenia składać w sobie jedynie, nie dzielić się z niemi, nie zwierzać ich nikomu; pozostała i nadal zamkniętą, małomówną, przypatrującą się z nieśmiałą jakąś ciekawością temu nowemu światu, zpod oka.

Stosunki z braćmi były zawsze dosyć ograniczone.

Krzys wychowywał się poza domem, a potem cały czas trawił w fabryce starszy Karol mało zajmował się siostrą, zresztą swoją imponującą przewagą odstraszał ją od poufalszego zbliżenia

się i poznania. Z ojcem rozmawiała bardzo mało o rzeczach potocznych; zostawała jej jedynie matka, z którą wszelako nigdy nie umiała poprowadzić poważniejszej rozmowy i uczynić jej swoją powiernicą.

Na wielu punktach brakło im zetknięcia, nie mogły się porozumieć; dwa różne umysły, różne usposobienia, dwa wychowania odmienne, dwa pokolenia, reprezentowane w matce i córce, tworzyły ów jakiś niowyrównany przedział, który się im zbliżyć nie pozwolił.

Był pomiędzy temi dwoma kobietami stosunek owocu do drzewa, ale owocu oderwanego od gałęzi, który dojrzał swojemi własnemi sokami, jak owe zimowe jabłka, zebrane w jesieni i trzymane w przechowaniu, aż „dojdą.“

Liza czuła się obcą w tej atmosferze rodzinnej, w której nikt się do niej prawdziwie nie zbliżał, nie starał jej się poznać, nie umiał wy badać i do duszy zamkniętej, skulonej jak płochliwy ptak z główką ukrytą pod skrzydłem, nie zajrzał.

Albo to kogo obchodziło, co ta ośmastoletnia dziewczyna myśli w swoich długich zadumach, jakie sobie wyrabia pojęcia, zachcenia, poglądy, czy je ma wogóle?... Przeznaczono jej rolę bierną panny na wydaniu, której posagiem administrował starszy brat i dla której miał z pełnomocnictwa ojca postarać się o męża, tak samo jak starał się o zabawy i przyjemności dla niej.

O resztę nie chodziło nikomu.

Bogate panny są przecież na to, aby zamąż wychodziły prędzej czy później, jako „dobre partye“ i nie siedziały na koszu.

Stary Fatt byłby się bardzo zdziwił, gdyby mu powiedziano, że jego córka nie czuje się ani tak szczęśliwą, ani tak zadowoloną, jak to sobie wyobrażał; że bardzo często z balów lub wieczorów u brata powraca znużona, zniechęcona do swego różowego pokoiku i, nie rozebrawszy się z balowej sukni, siada na kozetce, głowę opiera na dłoni i wtedy ta spokojna, nieruchoma, codzienna maska opada z dziewczęcej twarzy, a jakiś bolesny wyraz zawodu zjawia się w jej dużych, głębokich i zamysłonych oczach.

Nie poznałby w takich chwilach swej Lizy ani on, ani brat Karol, ani matka, która przypuszczałaby co najwięcej niedyspozycją w pannie, przekarmionej słodyczami, aniżeli jakąś duchową rozterkę, i na całe pocieszenie byłaby się zdobyła co najwięcej, na ugotowanie dla córki własnemi rękoma... rumianku.

Z całej młodzieży, która otaczała Lizę, z tej młodzieży albo zanadto zdrowej i przekarmionej, rubasznej trochę w wesołości, zamaszystej w tańcu, banalnej w rozmowie, albo wątłej, wyniszczonej fizycznie, wybladłej i zblazowanej życiem kawalerskiem, wymykającej się z salonu i od pańszczyźnianej rozmowy z pannami, pierwszy baron zwrócił na siebie większą uwagę Lizy; zajęły ją i formy bardziej dystygowane, i sposób przemawiania, i fizyczna piękność Apcia, który wyróżniał się wśród wszystkich jej znajomości związanych w domu brata.

On pierwszy próbował rozmawiać z nią, pierwszy wyciągał ją na słówka i zdawał się zajmować nie samą jej powierzchownością, jej kształtną główką o grubych, czarnych warkoczach, — jej białą, matową cerą i stając przy niej ze złe ukrytym cynizmem nie przyglądał się okrągłym kształtom jej dziewczęcego gorsu, jak to często czynili młodzi spadkobiercy bogatych firm, którzy na wieczorach wśród pańien na wydaniu kręcili się, jak kupcy na targu, poszukujący najtłustszej sztuki, zaczynając rozmowę od banalnego zapytania:

— Dużo też pani tańczy w tym karnawale?

Baron zbyt wytrawnym był znawcą kobiet, aby nie poznać się odrazu, że „w tej dziewczynie jest materyał...“

(Dalszy ciąg nastąpi).

AMERYKANKA.

(Dokończenie).

Trudno zaprzeczyć, iż społeczność na takich podwalinach musi się korzystnie rozwijać i rozradzać. Materyalista Amerykanin trochę brutalnie wyrzuca Europejczykom, iż ubiegają się o wydoskonalenie ras zwierząt domowych, o podniesienie gatunków bydła rogatego i nierogatego, a tymczasem przez wadliwe urządzenia społecznemu wystawiają króla zwierząt, człowieka, na stopniowy upadek fizyczny dobieraniem nieładnych i niezdrowych matek dla przyszłych pokoleń ludzkich.

Ale, aby wyjść za mąż podług serca, trzeba tam samej sobie radzić. Ojciec na to czasu nie ma, matka wcześniej córkę wyswabada z nadzoru, zawierając jej zdrowemu rozsądkowi i przyrodzonej uczciwości. Niema tu pola na przedwstępne rodzinne układy, projekta, intrygi. Wybór musi być osobisty, swobodny. Panna rozumie, że tu chodzi o szczęście całego życia, i że to nie lada loterya. Trzeba tedy się poznać i spotkać, i oto zaczyna się dla każdej Amerykanki epoka szalonego rozbawienia. Moznaby sądzić, że się zepsuje hołdami, upoi powodzeniem, zapomni o swej godności. Bynajmniej. Te rozhuwane tańcem i wirum zabaw panny zamieniają się stale w dobre matki i poważne a ciche matrony. Wybawiają się zamłodu, i nie tęsknią już później za światem, którego dosyta w odpowiedniej użyły porze. Świat ten był tylko dla nich szczeblem do szczęścia, drogą wiodącą na ślubny kobierzec.

Flirtacya, — żeby amerykanizmu na tem miejscu użyć — która wypełniała owe dni niepowrotne, nie jest wcale kokieterią bezmyślną. Służy ona do harców serdecznych, do zmierzania uczuć, do zaprawiania się w ostatecznej sztuce: znalezienia sobie wzajemności na wypadek silniejszego uderzenia serca. Trzeba się dobrze wprawić w szermierkę towarzyską, aby potem już pewną ręką sięgnąć do kołczana miłości i zręcznie łuk napiąć, aby zeń grot trafny wypuścić. Wstęp to i przegrzywka do rozstrzygającej walki życia i zwycięstwa przez nad losem, zapewnienie sobie domowego szczęścia.

Wspólne z chłopcami wychowanie odejmuje Amerykance skłonność do marzycielstwa i sennych rojeń. Jest ona pozytywną i spokojną, trzyma na wodzy serce, które jej się też nazbyt nie wyrzywa, unie opanować położenie i dbać o przyszłość, i bardzo rozsądnie a roztropnie swoje baterie rozstawia. Nikt jej nie ma za złe, jeśli lat piękną używa na t. zw. *pursuit of happiness*, pościg za szczęściem. Wie, czego chce; oto jej bezpieczeństwo i siła: chce los swój ustalić, chce całą możliwą sumę szczęścia z życia wy dostać, i nikt jej się nie dziwi, jeśli z całym rynsztunkiem czarów niewieściich zstępuje w arenę i do celu zmierza. Cel ten godziwy i uczciwy, a oby czaj krajowy usłwił niewinną flirtacyą, która, przywilejem młodości, nigdy się nie utrwała poza portem hymenu.

Panny i młodzieńcy flirtują tedy do upadłego ale zawsze *pour le bon motif*, jak mówią Francuzi. Od tego rozum mężczyzny, aby nie paść ofiarą zbyt zręcznej piękności, nie dać się uwikłać wbrew woli w nieopowiednie sieci. Biada temu, kto danej raz obietnicy nie dotrzyma! Sady amerykańskie pełne są processów o wynagrodzenie za złamane słowo. Nie lekkie to sprawy, normujące się raczej podług majątku obwinionego, aniżeli w miarę poniesionej krzywdy. Zdarza się, iż ciężkimi grzywny opłacać przychodzi niebaczenie przyjęte i złamane zobowiązanie. To też mężczyźni trzymają się na ostrożności i muszą być bardzo pewni niezłomnej serca woli, aby przyjmować zobowiązania do śmierci. Ale i panienci, mimo pewnego upojenia się młodością, pięknnością i powodzeniem, zachowują, jak Hamlet, a *method*

in their madness—pewną metodę w szale,—i nigdy nie tracą z oczu i myśli największej sprawy niewieściego życia: dobrego wyjścia za mąż.

Kampania matrymonialna trwa zwykle lat trzy: w pierwszym roku panna się bawi byle się bawić, drugi rok jest epoką doświadczenia, trzeci rozstrzyga o powodzeniu i zwycięstwie. Te zaś, które w programatowym okresie czasu nie osiągnęły celu, wyjeżdżają do Europy i tworzą ten nieco excentryczny i hałaśliwy, ale nawskroś uczciwy szwadron pięknych Amerykanek, widzialny dziś po wszystkich stolicach i wodach starego świata. Niejedno nas w nich razi i dziwi, ale nie zgorszyć nie może. Wszystko dla nich i w nich cichnie z dniem ślubu, i odtąd zamykają się niepowrotnie w progach domowych, z miłym wspomnieniem wyczerpniętych dosyć przyjemności i swobody lat młodych, nie tęsknią też za przeszłością ani sobie wyrzucają zmarnowania daremnej jedynej życia wiosny.... Zadatkiem szczęścia Amerykanki—to pewność, że została wybrana i poślubiona dla własnych swych przymiotów. Co najwięcej, z domu rodzicielskiego otrzymuje wyprawę i, jak to już nadmieniliśmy, niewielki podarek, przeznaczony na opędzenie kosztów podróży poślubnej.

Ale znawca stosunków amerykańskich, jakkolwiek różowo nam je maluje, zataić nie może rozstroju wkradającego się obecnie w pewne sfery tego młodego i niewyrobionego świata. Wspomnieliśmy, iż małżeństwa wcześniej bywają zawierane na drugiej półkuli. Panna posagu nie wnosi, mąż dopiero zaczyna się niezależności materyjalnej dorabiać. Jakże tu starczyć na potrzeby życia, a nie uchybić prawdom t. zw. *respectability*, to jest zachować pozory i dogodności życia, jak na *porządnych* ludzi przystało? Względ ten zniewala młode stadła ze średnich stanów do osiedlania się w hotelach i pensjonatach, gdzie do piętnastu rodzin nieraz obok siebie koczują. Mężowie trawią dzień cały na *businessie*, zaprzatającym im życie, a tymczasem żony zbyt często wchodzą w błędne koło zupełnej bezczynności. Wtłoczone w banalne a wygodne stosunki domów zajezdnych i nowoczesnych karawanserajów, gdzie życie rodzinne żadną miarą rozwinać się ani zakwitnąć nie może, staczają się po pochyłościach zupełnie niegdyś obcych zdrowemu społeczeństwu, a próżniactwo wyradza nieznanie dawniej zarazy. Zepsute dziecię nowego świata, pani niedawno powstałego towarzystwa, często własnymi obulamuconą przywilejami, zatruta powiewem bogactw, na które patrzy, trwoni bezmyślnie pracowity zarobek męzowski, traci czas i pędzi życie motyla.

Praktyczność amerykańska, zmierzwszy idące ztąd niebezpieczeństwa, zabrała się do studyowania istotnego stanu rzeczy, aby złemu w związku zaradzić i przeszkodzić. Nim jednak nam odnieśli plon tych badań gruntownych, p. Varigny raz jeszcze streścić usiłuje rysy przewodnie charakteru Amerykanek, a czyni to z sympatycznym do nich uprzedzeniem. Zapewne, są one hałaśliwe i odmienne od naszych niewieście idealów, ale czy od nich stanowczo bywają niższe? Tego autor nie zdaje się mniemać. Wrodzona zalotność jest u nich zawsze uczciwą i do uczciwych celów użytą bronią, a nie wyklucza głębszego uczucia. Upodobanie w zbytku wpływa z nadmiaru ogólnej w kraju pomyślności materyjalnej, a pesymizm starego świata nie ma dostępu do tych optymistycznych i świeżych natur amerykańskich. Zbyt żwawe ich obejście się płynie z dziedzicznej niepodległości, ze zbytznego niemal hołdownictwa Yankiesów dla płci pięknej. Wskazaliśmy powyżej, iż te, nieco rozluźnione, paniąki najczęściej do wczesnego i zupełnego dochodzą ustatkowania. Wesołość zresztą nic nie ujmuje ich umysłowej kulturze, przewyższającej zwykle wartość przeciętną wychowania naszych kobiet.

Monografia „Amerykanki“ nie wypowiada ostatniego słowa o wyższości odrębnego typu niewieściego w stosunku do reszty świata, przez zestawienie jednak czynników składowych, które ów typ wytworzyły, zasługuje na bliższe poznanie. Przy końcu atoli dłuższego studium sumienne stosunków nowego świata zbadanie zmusza autora do ujemnych wyznań i sądów. Nigdzie węzły

rodzinne nie bywają węższe, niż w tej ojczyźnie rozwodów, mnożących się dziś w sposób zatrważający. Autor nie kładzie tego na karb charakteru ani moralnego wychowania amerykańskich kobiet, lecz przypisuje to raczej wadliwości prawodawstwa, które wśród młodego społeczeństwa, ułatwivszy zawiązywanie dogonnych ślubów przez uproszczenie lub pominięcie wszelkich formalności, teraz nie kładzie tamy ich rozwiązywaniu,—owszem, nagina się zbyt łatwo do woli i kaprysu płci pięknej. Każdy ze Stanów związkowych innym kodeksem się rządzi, inne też zasady w sprawach małżeńskich uznaje.

M.

Kronika działalności kobiecej.

— W Petersburgu urządzona wystawa szkół technicznych i zawodowych wykazała, że kształci się w tychże szkołach przeszło 12.000 dziewcząt.

— W wykonaniu zapisu księżny Anny Wołkońskiej w dniu 31 Marca r. b. przypada termin rozdania trzech posagów, po rs. 239, ubogim pannom wyznania chrześcijańskiego, obyczajów uczciwych, urodzonym i wychowanym w Królestwie Polskiem, córkom rzemieślników lub fabrykantów, mającym od lat 18, do 30. Pierwszeństwo mają urodzone w Warszawie; sieroty zupełne przed pół sierotami—mającymi matki, a w braku takich—przed pół sierotami, posiadającymi ojców. Posagi przyznawane będą pod warunkiem wstąpienia kandydatki w związek małżeński w d. 12 Maja, r. b., jako w rocznicę śmierci matki ofiarodawczyni księżny Elżbiety Paskiewiczowej. Kandydatki ubiegające się o posag powinny złożyć do Warszawskiej Rady Miejskiej Dobroczynności Publicznej podanie, poświadczone przez dwóch właścicieli nieruchomości i zapewniające, że kandydatka uczyni zadość żądanym warunkom. Oprócz tego złożyć należy, obok metryki urodzenia, akt zejścia rodziców i świadectwo właściwego cechu, że ojciec jest lub był rzemieślnikiem.

— Zmarła hr. Hortensya Małachowska oprócz zapisu 2.000 rs. dla Warszawsk. Tow. Dobroczynności na ochrony, legowała nadto: dla Towarzystwa Pań Miłosierdzia Ś-go Wincentego à Paulo rs. 3.000; na Przytulisko przy ulicy Wilczej rs. 1.000, na Zakład Paralityków przy ulicy Nowomiejskiej rs. 1.000. Użycie tych pieniędzy, bądź na zużytkowanie natychmiastowe, bądź na zamienienie ich w fundusz żelazny, zostawiła ofiarodawczyni uznaniu zarządu każdej z obdarowanych instytucji.

— Dozorczyni ochron Warszaw. Towarzystwa Dobroczynności uczą się koszykarstwa z celem wprowadzenia do ochron nauki tego rzemiosła.

— Rozpoczęły się zapisy kandydatek (i kandydatów) do Sal Zarobkowych imienia Staszycy. Kwalifikacje wydaje komitet, złożony z kuratora, lekarza i intendenta zakładu; godziny pracy wyznaczać będzie, po zbadaniu stanu zdrowia, lekarz.

— P. Józefa Biegańska, farmaceutka, zakłada w Warszawie aptekę, która będzie całkowicie obsługiwana przez kobiety.

— P. Bronisława Popielewska otwiera w Warszawie szkołę koronarską z opłatą 15 rs. za kurs nauki.

— Zakład Warszawskiego Towarzystwa sprzedaży owoców wraz z całym urządzeniem nabyła na wyłączną własność swoją kobieta, kassyerka zakładu.

— Między zakupionymi przez Warszaw. Towarzystwo Sztuk Pięknych obrazami, przegna-

zonemi do rozlosowania między członków Towarzystwa jest dzieł kobiecych 5: Maryi Dulembianki dwa: „Blondyn“ i „Dziewczyna“, Stefanii Cygall „Dziewczynka“, Bronisławy Łukomskiej dwa: „Owoce“ i „Natura martwa“.

— Na konkurs rzeźbiarski nadesłała Antonina Roźniatowska z Krakowa cztery gipsy: trzy popiersia portretowe, oraz „Panienkę z kotkiem“.

— Komitet Wystawy Sztuki Starożytnej i Nowożytnej w *Muzeum Przemysłu i Rolnictwa* przyznał w dziale sztuki starożytnej podziękowanie w dyplomach: „Zakonowi P. P. Wizytek w Warszawie, za przyjęcie udziału w wystawie; hr. Augustowej Potockiej z Willanowa za wystawioną część zbiorów z Willanowa, szczególnie za umebłowanie pokoju po Maryi Kazimierze Sobieskiej; hr. Maryi z Kwileckich Zawiszynie za różne okazy starej porcelany saskiej, oraz meble, srebra i miniatury stare; hr. Franciszkowej Pusłowskiej za zbiór pasów i cenną makatę; p. Stefanii Lackiej za makaty i inne cenne przedmioty; hr. Pelagii Branickiej za różne przedmioty; hr. Maryi Przeddzieckiej za wystawienie starych klejnotów; p. Zofii Trzebińskiej za kolekcją różnych cennych przedmiotów.

W dziale sztuki nowożytnej przyznano: Annie Nadporozkiej złoty medal za koronki i hafty dziergane; zakładowi Ś-go Łukasza za artystyczne malowanie na szkle medal srebrny wielki, Stefanii Cygall za portret na porcelanie medal srebrny, Elli Wiliamson z Paryża za malowane wachlarze medal brązowy; Helenie Ejdziatowiczowej za nowego rodzaju malowanie na płótnie, naśladowujące gobolinę, Bronisławie Poświk za także listy pochwalne.

— Zaczyna filantropka, której Galicya zawdzięcza kilka pożytecznych fundacji, z hr. Golejskich Czarkowska, ofiarowała 60.000 zł. reń. na zakład ociemniałych i głuchoniemych.

— Zmarła cesarzowa Brazylijska, Teresa Krystyna Marya, z domu królowna sycylijska, córka Franciszka I-go, zaznaczyła się w swej przybranej ojczyźnie pieczołowitą starannością o los opuszczonych i moralnie zaniedbanych dzieci, wnosząc odpowiednie zakłady, nieistniejące poprzednio w Brazylii. Dobroczynnie z jej własnej kasy na ten cel wyłożone pieniądze, przedstawiają imponujące sumy; kochająca szczerze męża i dzieci, życiu rodzinnemu przeważnie oddana kobieta mogła je zaoszczędzić, nie wydając na zbytki i zabawy.

— W dniu 14 Stycznia została otwarta w Londynie wystawa stowarzyszenia kobiecego: *Szwaczek odzieży dziecinnej*. Na czele Stowarzyszenia stoją dwie dobroczynnej działalności oddane kobiety: miss Ehrenhoff i miss Duncan i pod ich przewodnictwem stowarzyszenie zakupuje znacznymi partiami materiały, które krajane są na miejscu w zakładzie stowarzyszenia i oddawane do szycia kobietom niezamożnym klas wykształconych, które przy ograniczonych środkach utrzymania pragną na powiększenie dochodu rodziny pracować, nie opuszczając domowego ogniska. Kontrola ściśle rozciągnięta nie pozwala, aby zabierały robotę osoby mniej potrzebne i sięgające po zarobek tylko dla celów pozyskania dochodu na jakieś przyjemności. Drugostronnie dobroczynna działalność stowarzyszenia skarbi sobie tę zasługę, że ubogie rodziny, gdzie matka jest robotnicą, pracującą poza domem, mogą nabywać po cenach umiarkowanych odzież porządnie uszytą i z dobrych, trwałych materiałów.

— Zakład wyuczający kobiety gaszenia pożaru i działania ratunkowego wśród ognia, istniejący w Anglii, ukończył dnia 4 b. m. 1-y rok swego istnienia. Na zjeździe straży ogniowej podczas wystawy paryzkiej przedstawiono się sześć reprezentantek tej instytucji, a jakkolwiek przyjęto je początkowo żartami, widząc nienaturalną jakoby awanturniczość w takim, siłę kobiecą przechodzącą, przedsięwzięciu, przeciw poważny układ delegatek angielskich i rzeczywiście ich uzdolnienie w zakresie obranego zawodu zmusiły do uszanowania ich dobrych chęci, które wykazały dowodnie, że nie są niepraktyczne. Szkoła

kobiecej straży ogniowej obznajamia kobiety: I-o z użyciem narzędzi ratunkowych w zakresie gaszenia pożaru, jak i ratowania z niego ludzi i przedmiotów cenniejszych. II-o z najskuteczniejszymi sposobami gaszenia pożaru w razie, jeżeli w braku pomocy męskiej kobieta musi się na to poświęcić. III-o niesienie pomocy poparzonemu. Skoro dostateczne siły ratunkowe usuwają potrzebę czynnego współdziałania kobiety w akcji gaszenia pożaru, obowiązkiem kobiety strażaka jest, obok opatrywania rannych, niedopuszczanie do ognia ciekawych i pilnowanie, aby pod pozorem ratunku nie było rabowania. Szkoła przyjmuje każdą zgłaszającą się kobietę dorosłą i każdą dopuszcza do nauki—do ćwiczeń potrzebnych, bo każda może w życiu spotkać się z okrutnym żywiołem zniszczenia, ale jakkolwiek obznajomienie się, choć do pewnego stopnia, ze sposobem ratowania się od ognia, jest już nabytkiem pożytecznym, przecież patent na strażaczki (firewomen), udzielają się tylko tym, które przez odwagę, zimną krew i potrzebną tu wielce bystrość umysłu uzdolnić się mogą rzeczywiście do tego, aby można je zaliczyć do *Brygady ratującej życie ludzkie*: „Life Saving Brigade“ a to ze względu na to, aby tylko takie stawały w razie wypadków pożaru na czele ratujących i kierowały ich czynnościami, bez względu na swe wyższe lub niższe stanowisko społeczne.

— Kobiety norweskie zostały wezwane przez jedną ze swego grona za pośrednictwem gazety wychodzącej w Chrystianii: „Dagblad“, do składki w celu zbudowania nowego okrętu dla marynarki wojennej. Uzbrojenie floty jest dzisiaj potrzebne dla interesów państwowych Szwecji i Norwegii, a kobiety wzięły też rzecz do serca. Odezwa jest napisana bardzo pięknie i wzniosłe.

— W Szwajcaryi, w kantonie Lucerny, zawiązało się świeżo Stowarzyszenie starych panien (Société de Vieilles Filles) z celem dobroczynnego działania, szczególnie w zakresie opuszczonych lub ubogich chorych dzieci. Stowarzyszenie istnieje niedawno i liczy dopiero około stu członków.

Z bieżącej chwili.

— W Petersburgu odbyło się doroczne posiedzenie Akademii Nauk. Odczytanem zostało sprawozdanie wydziałów fizyczno-matematycznego i historyczno-filozoficznego, wyliczono prace dokonane lub przedsięwzięte przez Akademię, zapisano wydawnictwa, które prowadzi. Za ocenę dzieła: „O narzeczach morawskich“ przyznano złoty medal prof. Budiłowiczowi.

— W Rosyi przestrzeń gruntu zajętego pod uprawę krzewu winnego wynosi 170,000 dziesięcin, produkcja wina liczy 20 milionów wiader rocznie. Liczby te podaje ministerium dóbr Państwa, według wiadomości, które zebrało.

— Rada Miejskiej Dobroczynności Publicznej otworzyła w d. 28 Stycznia r. b. sale zarobkowe imienia Staszycy, urządzone przy szpitalu Wolskim dla 30 mężczyzn i 30 kobiet. Na początek urządzono dla mężczyzn warsztaty: stolarski, ślusarski, introligatorski, szewcki, krawiecki, kuśnierski i czapnicki, oraz pracownie dla kobiet.

Przyjmują się wyłącznie rzemieślnicy, mieszkańcy Warszawy.

— Jubileusz trzydziestoletniej działalności nauczycielsko-artystycznej święcił Wojciech Gerson, zasłużony dla sztuki naszej malarz historyczny, ilustrator, estetyk, historyk sztuki, współzałożyciel Towarzystwa Sztuk Pięknych, professor Szkoły Rysunkowej. W 1860 r. rozpoczął naukę rysunku w zakładzie głuchoniemych i prowadził ją, aż do objęcia kierownictwa w Szkole Rysunkowej.

— Konkurs rzeźbiarski urządzony przez „Warszaw. Towarzystwo Sztuk Pięknych“ został rozstrzygnięty przez sędziów: I. Kryńskiego, B. Syrewicza i A. Pruszyńskiego. Pierwszej nagrody (600 rs.) nie przyznano nikomu. Nagrodę drugą (rs. 300) otrzymał Antoni Madejski za „Biust mężczyzny“ w gipsie; nagrodę trzecią wzięła Antoni Kurzawa za grupę w gipsie: „Mickiewicz budzący gieniusza“. Listy pochwalne otrzymali: Jan Wojdyga, Ludwik Pyrowicz, Wład. Marcinkowski i Ignacy Łapiński. Fundusz przeznaczony na nagrodę pierwszą rozdzielono między artystów obdarzonych listami pochwalnymi. Wystawa rzeźby została otworzoną. Występuje na niej artystów czterestu.

— Maja — to tytuł oryginalnej naszej operetki, której muzyka jest dziełem p. Adolfa Sonenfelda; a libretto napisał p. Paweł Kościński. Dyrektor Łódzkiego Teatru nabył te dzieło i zamierza je produkować w Warszawie w sezonie letnim.

— Posażna jedynaczka Fredry przełożona na język węgierski i wystawiona w Teatrze Narodowym zyskała wielkie powodzenie.

— Obrazki Warszawy napisał Ed. Jelinek znany z życzliwej dla nas przyjaźni pisarz czeski, zamieszkujący Pragę. „Obrazki“ przedstawiają życie nasze, rodzinne i społeczne.

— Statut Czeskiej Akademii umiejętności w Pradze zyskał zatwierdzenie rządowe i instytucja ta wkrótce otwartą będzie.

M Y Ś L I.

— Serce człowieka

Wciąż na nieskonczoność ucieka
Przez łzy, tęsknoty, męczarnie,
I wierzy, że w swoim łonie
Przestrzeń i wieczność pochłonie
I niebo całe ogarnie.

—
Nie mów, chociażbyś umierał z tęsknoty,
Że nie ma czystej miłości na ziemi
Tyś pewno w drodze rzucił blask jej złoty
Za ognikami zdążając błędni.

—
Ci, którzy mówią o poezji zgonie,
Czyliż nie wiedzą, że ma żywot wieczny
W piersiach ludzkości i w natury łonie?
Że się odnawia w jasności słonecznej,
W ogniu młodości, co wieczysto płonie?

Asnyk.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 7-y powieści pod tytułem: **Odtrącony**, przez Reneusza Bazin.

Encyklopedia Ilustrowana MEDYCyny i HYGIENY

POPULARNEJ

D-ra Pawła Bonami

opracowana i do naszych stosunków zdrowotnych zastosowana

przez

Józefa Starkmana

Zeszyt 2-gi, zawierający między innymi artykuły: „Ból lędźwiowy, ból nerkowy, brodawki, broń palna, brzuch, brzydłość; — charłactwo, china, chlor, cholera, chrypka, chudnienie i t. p. wyszedł z druku i jest do nabycia we wszystkich księgarniach.

Cena Zeszytu kop. 30, pocztą kop. 36. Zeszytów będzie trzydzieści.

Wnoszący prenumeratę jednorazowo za całe dzieło płacą rs. 8; z przesyłką pocztową rs. 9 kop. 50.

TREŚĆ: Pogawędka.—Kwiaty zimowe, przez M. Ilnicką. (dok.)—Henryk Stanley. (dok.)—Drugie pokolenie. Powieść oryginalnie napisana, przez M. Gawalewicza.—Amerykanka, przez M. (dok.)—Kronika działalności kobiecej.—Z bieżącej chwili.—Myśli.

Dodatek obejmuje: Arkusz 7-y powieści, pod tytułem: *Odtrącony* przez Reneusza Bazin. Przekład z francuzkiego.—Przegląd mód.—28 wzorów, ubiorów i robót z opisem.—**Sekreta gospodarskie.**—**Dyspozycya stołu.**



Nr 4. Suknia wieczorowa z atlasu (do ryc. Nr 6).

Suknia wieczorowa z atlasu.

Rycina Nr 4 i 6.

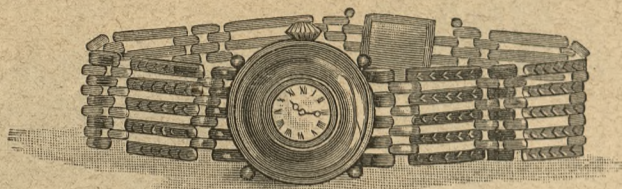
Spódnica 204 cent. obwodu z kanansu zielonego, otoczona w dolnym brzegu falbanką plisowaną z tegoż samego materiału, pokryta drugą spódnicą 280 cent. obwodu z atlasu tegoż koloru, ułożoną w tylnej części w 5 kontrafałd zwróconych ku sobie, z przodu zaś gładka. Czarne koronki i czarny aksamit krótki zapinany pod spódnicą. Pasek „Médius.“



Suknia dla młodej panienki.

Rycina Nr 5 i 7.

Spódnica z różowego kanansu, obszyta w dolnym brzegu riu-zką 15 cent. szer. wycinaną w ząbki, nad którą przyszyta riu-zka 20 cent. szer. ułożona w kontrafałdy z tiulu różowego. Cała spódnica pokryta tiulem różowego.



Nr 3. Bransoletka z zegarkiem z srebra.

Nr 1 i 2. Kaftanik z sukna i aksamitu. (Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 51-56).

Koronka wykonana miniardizą i szydełkiem.

Rycina Nr 19 w Bl. Nr 4.

Koronka wykonana krętą bawełną i tasiemeczką z brzeżkiem dziurkowanym. 1 kolej: * 1 ściśle oczko w następne oczko tasiemeczki, 2 powietrzne ocz., 1 potrójny słupek w 4 z rzędu ocz. tasiemeczki, lecz przerobić tylko dolną żyłkę, tasiemeczkę podług ryciny skośno zagiąć na 6 oczek, 1 słupek w 3 z rzędu wolne ocz. tasiem. po za zgięciem, poczem przerobić 2-ą żyłkę potrójnego sł., 7 pow. o., 1 sł. w środkową żyłkę poprzedniego potrój. sł., 2 pow. o., 1 ściś. ocz. w 4 z rzędu o. tasiem. tasiemkę zagiąć podług ryc., 5 pow. o., od * powtórzyć. — 2 kolej: 15 podwójnych sł. w następ. 7 pow. o., 2 pow. o., 1 ściś. o. w środkowe następ. 5 pow. o., 2 pow. o., od * powtórzyć. — 3 kolej: * 1 sł. w następ. podwój. sł., 7 razy na przemian: 1 pikot czyli 5 pow. o. i 1 ściś. o. w 1 z tychże, 1 sł. w 2 z rzędu o., ostatniego zaś sł. nie przerabiać, od * powtórzyć, przy czem ciągle 1 słupek z ostatnim słupek. razem przerabiać. — 4 kolej: po drugim brzegu roboty * 2 sł. rozdzielone, 4 pow. o. z obydwóch stron następnego zgięcia w ocz. tasiemki; 5 pow. o., 1 potrójny sł., którego górnej żyłki nie przerabiać, i 2 podw. sł., których górne żyłki przerobić razem z poprzednią żyłką potrój. sł. w 4 z rzędu ocz. tasiemki, 3 podw. sł., których górne żyłki razem przerobić w odpowiednie ocz. tasiemki. Górne żyłki potrójnego sł. przerobić, 5 pow. o., od * powtórzyć. — 5 kolej: ciągle na przemian 1 sł. w 2 z rzędu o., 1 pow. o. — 6 kolej: * 1 ściś. o. w następ. pow. o., 2 listki, na każdy z nich wykonać 5 pow. ocz. i 2 podw. sł., których górne żyłki razem przerob. w 1 z 5 pow. ocz., 4 słupek opaszcic, od * powtórzyć, nakoniec 1 ściś. o. w o. pow. po nad następ. 4 sł. — 7 kolej: 1 listek jak opisano powyżej, 1 ściś. o. w żyłkę, znajdującą się pomiędzy dwoma listkami, potem ciągle naprzemian: 2 listki, 1 ściś. o. w żyłkę znajdującą się pomiędzy dwoma następ. listkami. — 8 kolej: 1 ściś. o. w następ. listek, potem ciągle na przemian: 7 pow. o., 1 ściś. o. w żyłkę znajdującą się pomiędzy następnymi 2 listkami. — 9 kolej jak kolej 5.



Nr 5. Suknia balowa dla młodej osoby (do ryc. Nr 7).

Nr 6. Suknia wieczorowa z atlasu (do ryc. Nr 4).

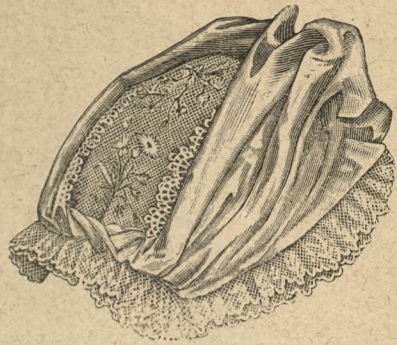
Nr 7. Suknia balowa dla młodej osoby (do ryc. Nr 5).

żowym, haftowanym sznelą i nakrapianym złotymi punkcikami. W tylnej części umocowano 5 końców różowej morowej wstążki 10 cent. szer. i takież pasek. Stanik i rękawy podług ryciny. Garnitur kwiatów z róż i fiołków i takież opaska na szyi.

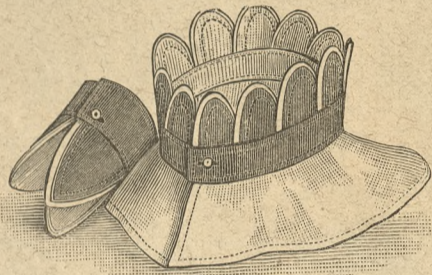
Czepeczek z „surah“ i tiulu haftowanego.

Rycina Nr 8.

Foremka z petynetki 3½ cent. szer. 37 cent. dług., ścięta z przodu w mały ząb. Połączyć poprzeczne brzegi paskiem z petynetki 15 cent. długim a 2 cent. szer. i wszyć denko 22 cent. wysokie a 23 cent. szer. w górnym brzegu nieco zaokrąglone, w dolnym zaś ścięte na 18 cent. i ułożone w górnym brzegu w fałdki. Otoczyć koronką 5 i 6 centim. szer., pokryć denko wzdłuż środka tiulem haftowanym kolorowym jedwabiem i złotą nitką, brzegi zaś wzdłuż obszyć koronką białą 4 cent. szer. Przybrać podług ryc. częścią różowego „surah“ 30 cent. szer. i odpowiedniej długości długą.



Nr 8. Czepeczek z „surah“ i haftowanego tiulu.



Kołnierzyk dla młodej panienki.

Rycina Nr 9.

Użyć część tkaniny tiulowej dziurkowanej w odstępach 2 cent. szer., 11 centim. wysoką a 115 centim. długą. Części dziurkowane poprzeciąć wstążeczką tak nazwaną „bébé“, którą jak w górnej tak w dolnej części zakończyć puklami. Na 2 cent. od górnego brzegu ułożyć w ściśle fałdy i przyszyć wzdłuż fałdowanie wstążką koronkową 2 cent. szeroką.

Nr 11 i 12. Kołnierzyk i mankiety z perkalu.

Kokarda z krepki i koronki.

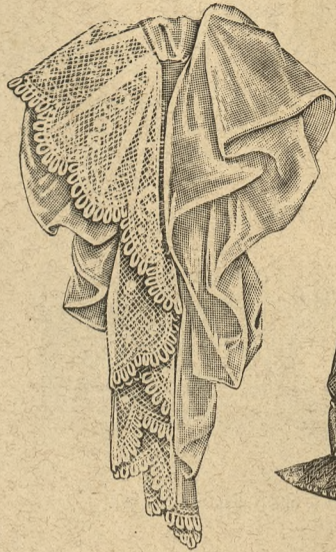
Rycina Nr 10.

Część krepki niebieskiej 30 cent. dług. a 21 cent. szer., obszyta z jednego brzegu koronką białą haftowaną jedwabiem. Ułożyć podług ryciny i przewiązać węzłem z krepki.

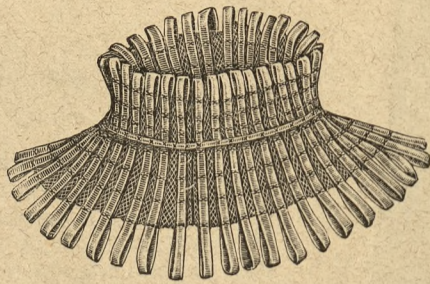
Kołnierzyk i mankiety z perkalu.

Rycina Nr 11 i 12.

Kołnierzyk z niebieskiego perkalu składa się z zębów 3 cent. wysok. a 4 cent. szer., zachodzą-



Nr 10. Kokarda z krepki chińskiej.



Nr 9. Kołnierzyk dla panienki.



Nr 13. Czepeczek z czarnej koronki i wstążki.

cego jeden na drugi na 1 cent. i podszytych listewką z perkalu. Mankieciki odpowiednio złożone z 3-ech zębów, każdy 6½ cent. wysokości a 8 cent. szer. Każdy ząb oddzielnie wykonany podszyty podkładem i szer. ścięciem i otoczony białą perkalową wypustką.

Czepeczek z wstążki i koronki.

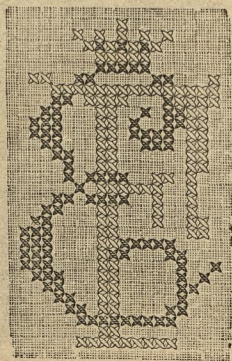
Rycina Nr 13.

Na podkładzie z czarnej petynetki 32 cent. dl. a 8 cent. szer., ściętej trochę szpiczasto z przodu, obszytej drucikiem i wąską wstążeczką koloru pomarańczowego przyszyć do poprzecznych boków pasek z tiulu 18 cent. dl. a 12 cent. szer. i takowy w dolnym brzegu ściśle zmarszczyć. Przybranie stanowi czarna koronka 10 cent. szer. z zębami „Eiffel“ oraz pukle z wstążki aksamitnej koloru pomarańczowego.

Mantylka z sukna ozdobiona piórami.

Rycina Nr 14. (Krój pierwsza strona tablicy Nr III, fig. 24—30).

Skrajać z ciemno-zielonego sukna, oraz atlasowej tegoż koloru podszewki. po dopełnieniu fig. 24 i 29, podług fig. 24—27, 29 i 30 po dwie części, podług fig. 28 jedną część złożoną wzdłuż środka, zeszyć plecy, boczki i przednie części podług cyfr i przyszyć na pro-



Nr 16. Znak haftowany. (Robota krzyżowa).

dzie hafteczki do zapinania. Przyszyć kołnierzyk od 48 do 52. Zeszyć górne części rękawów od 42 do 53 i przyszyć do dolnych w miejscu oznaczonym dwukropkiem, po zmarszczeniu takowych w górnym brzegu od * do * wszyć w okrycie od 55 do 42 i od 42 do 54. Otoczyć podług ryc. oszyciem z piór czarnych 12 cent. szer. i pasmanteryą tegoż koloru 7 cent. szer., oraz grełotkami.

Palcocik dla młodej osoby.

Rycina Nr 15.

Palcocik krótki weinany w tylnej części, luźny z przodu z sukna ciemno-zielonego, z przodem wstawionym, spiętym na dziurki i odpowiednie guziki, pokrytym podług ryciny sukniem ozdobionym czarnym sutaszem przyszytym do prawej przedniej części, a zapinającym się na lewej. Rękawy i kołnierzyk ozdobione sutaszem i całość podług ryciny, wykończona oszyciem bobrowym.

Suknia balowa lub wieczorowa z sukna i „faille“.

Rycina Nr 17 i 18.

Suknia z sukna białego i tegoż koloru atlasu. Na spódnicę z podszewki przód suknienny haftowany złotem, tylna część z białego atlasu ułożona

w fałdy. Stanik suknienny i rękawki buffaste atlasowe.

Serwetka w stylu „rococo“.

Rycina Nr 22, 19 i 20.

Skrajać na serwetkę część tkaniny kongres, koloru żółtawego 51 cent. w kwadrat, na której



Nr 14. Mantylka z sukna obszywana piórami. (Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 24—30).



Nr 15. Palcocik dla młodej osoby.

wykonać 9 gałązek rzucanych w równych odstępach podług ryc. Nr 19 i 20, filozelą, ścięciem gobelinowym ukośnym przez dwie nitki wysokości. Po wykończeniu otoczyć pluszem koloru oliwkowego na 9 cent. szer. podszyc miękkim muślinem i jedwabną podszewką.

Część kołderki na kolebkę lub wózeczek dziecienny. Robotą szydełkowa²₃ oryginalnej wielkości.

Rycina Nr 23.

Kołderka wykonana włóczką knotową (Herkuless) koloru białego i niebieskiego przetykana jedwabiem, otoczona podług ryciny łukami z ocz. powietrznych. Złączyć razem dwa kolory włóczki i wykonać wzdłuż odpowiedniej długości założenie, na którym powracając: 1 kolej: (na przemian obydwoma kolorami włóczki, przy czym zwracać uwagę, ażeby robota wyszła luźno). Najprzód włóczką niebieską: 1 powietrzne oczko, 5 ocz. z następnych 5 ocz. zebrać, zebrane na szydełku jednym ocz. przerobić, przyciągnąć obydwoma kolorami, * włóczką białą, 1 pow. ocz. 5 ocz. zebrać a mianowicie 1 ocz. z ocz. przeciągniętego obydwoma kolorami, 2 ocz. z żyłki znajdującego się powyżej oczek zbiorowych, 3 ocz. z dolnej żyłki ocz. którym przerobiono 6 ocz., 4 i 5 ocz. z następ. 2 ocz. założenia. Zebrane na szydełku przeciągnąć obydwoma kolorami od * powtórzyć. Ciągłe na przemian raz niebieską, raz białą włóczką.—2 kolej: Dwoma kolorami razem, 1 ściśle łańcuszkowe oczko, w oczko, z którego w przeszłej kolei zebrano 1 oczko 3 powietrzne oczka tylko włóczką białą, 1 powietrzne oczko, 3 oczka z poprzednich 3 powietrznych oczek zebranych, 2 ocz. z górnych żyłek następnego rzędu poprzedniej kolei zebrać, poczem zebrane na szydełku 1 ocz. przerobić i obydwoma nitkami przyczepić, potem jak od * poprzedniej kolei ciągle na przemian białą i niebieską włóczką każdy rzut wykonać. Każdą następną kolej wykonać jak poprzednią. Brzeg wykonać jak następuje * włóczką białą 1 ściśle łańcuszkowe oczko w 3 z rzędu brzeżne oczko, 10 powietrznych oczek zdjąć z szydełka ocz., włóczką niebieską 1 ściśle ocz. w 3 z rzędu ocz., 10 powietrznych oczek, ocz. z szydełka spuścić od * powtórzyć, zwrócić uwagę, ażeby pentelki łączyć jedna w drugiej i ażeby rogi roboty nie ściągaly się na ostatek 1 ściśle łańcuszkowe oczko tejże kolei.

Część deseni na kołderkę, kolebkę lub wózeczek dziecienny (robotą szydełkową).

Rycina Nr 24.

Kołderka wykonana włóczką knotową koloru piaskowego i niebieskiego przetykana jedwabiem, ściślemi oczkami luźno przerabianymi,

otoczona podwójnym rzędem pomponików z włóczki. Wykonać wzdłuż odpowiednią długość scisłych oczek, na których powracając: 1 kolej: ocz. opuścić, 1 oczko w każde oczko. — 2 kolej: 1 oczko powietrzne, potem ciągle 1 ściśle oczko w każde oczko. Powtarzać ciągle poprzednią kolej, lecz na przemian następną 2 koleje wykonać włóczką niebieską. Pomponiki wykonać włóczką niebieską i białą.

Doświadczenia praktyczne.

Robiąc majonez lub sos majonezowy w wypadku gdyby się zważył, co często miewa miejsce, jeżeli się nie robi w bardzo chłodnym miejscu — wlać kilka kropel wybornego winnego octu, a w tej chwili zważenie zginie — następnie dalej bić, lejąc ciągle po odrobinie oliwy.

L. C.

Przepisy gospodarskie.

Salata z kartofli w majonezie.

Ugotować kwartę odparzonych w lupinach kartofli — obrać, wystudzić i poszatkować

w cienkie plasterki. Wziąć jedno żółtko surowe, uwiercić je z odrobiną soli i białego koniecznie pieprzu, lać w to, wierząc ciągle łyżką, ćwierć funta najmniej dobrej oliwy, lejąc po odrobinie a ciągle — gdy już zgęstnieje dobrze, dolać do smaku ile potrzeba najlepszego tak zwanego deserowego octu — to jest winnego lub berbersowego — wymieszać dobrze i włożyć w ten sos przygotowane kartofle wymieszać lekko i zostawić w nim przed podaniem na kilka godzin, żeby kartofle przeszły majonezem.

Najlepsze i najtańsze octy stołowe wyrobia fabryka pani Rodewald — Twarda Nr 22.

L. C.

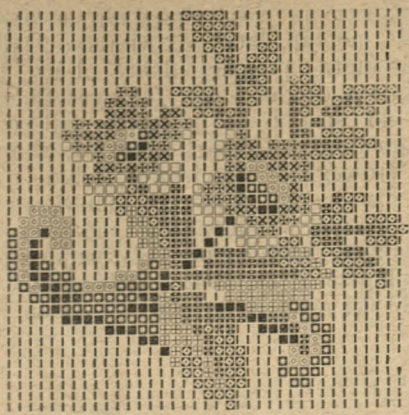
Krem mrożony lub niemrożony zwany „crème brûlée“

Funt mączki cukrowej skropić wodą w rondlu i zrumienić na wolnym ogniu pilnując, aby się nie spalił, ale był jak gęsty miód. Gdy ten karmel ostygnie, wlać w niego kwaterek zwyczajnej śmietanki, zamieszać i zagotować. Oddzielnie ubić 7 żółtek z ćwierć funtem cukru na gęsto — prawie do białości i te ubite żółtka sparzyć owym gorącym cukrem ze śmietanką, bijąc jeszcze na blasze gorącej aby się zgęstło — po zdjęciu z ognia jeszcze bić

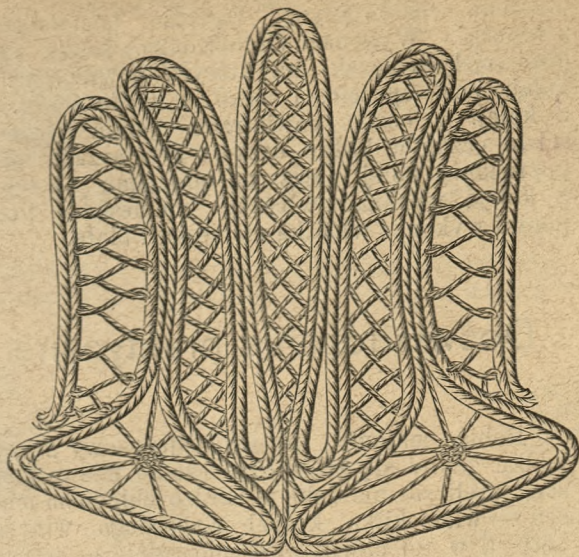
aż stygnąć zacznie. Oddzielnie ubić kwartę kremowej śmietanki, a gdy ubita, dobić po łyżce mocnej masy karmelowej, aż wszystko wyjdzie, — i jeszcze bić, żeby było równe zupełnie. Wziąć puszkę od lodów porcelanową lub nawet wysokie pudełko po 5-ciu funtach cukierków angielskich, umieścić tę puszkę w kubie z tłuczonym lodem mocno osolonym — trzy funty soli śniegówki na jeden kubek lodu — osypać puszkę lodem ciągle go solą przesypując, po przykryciu puszek papierem, położyć na wierzch także lodu i zostawić tak w spokoju na godzin 6 bez kręcenia — a po tym czasie będzie wybornie zamrożony krem, lub nawet, jeżeli kto chce nazwać lody — bo lody nie są w tym rodzaju niczem innym — tylko że się kręcą, — tylko że się kręcą. Jeżeli kto zaś chce, to podać jako zwykły krem, wtedy należy lut żelatyny namoczyć jak zwykle na 4 godziny w zimnej wodzie, następnie wycisnąć z niej, wrzucić w gotujący się cukier ze śmietanką, gdzie się rozpułnie natychmiast — dolewając następnie jak wyżej i kładąc w formę od kremów wylaną wodę i wysypaną cukrem. Wynieść do piwnicy dla zastudzenia.

L. C.

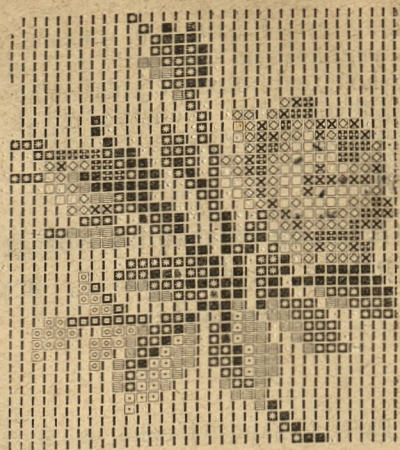




Nr 9. Desenik do serwetki Nr 22.
■ Ciemno-bronkowy, □ jasno-bronkowy,
▣ piaskowy, * pierwszy (najciemniejszy seledynowy), □ drugi i ▣ trzeci (jasno-seledynowy), * pierwszy (najciemniejszy niebieski), * drugi i □ trzeci (najjaśniejszy niebieski), † tło.



Nr 21. Część ozdoby stanika do ryc Nr 14 w Bl. N 6.
(Wielkość naturalna).



Nr 20. Desenik na serwetkę Nr 22
■ pierwszy (najciemniejszy oliwkowy),
□ drugi, ▣ trzeci i ▣ czwarty (najjaśniejszy oliwkowy), * pierwszy (ciemno-ponsowy), * drugi i □ trzeci (jasno-ponsowy), □ różowy, □ pawiowy ciemny, □ pawiowy jasny, † tło.



Nr 23. Część kołderki na wózek lub kolebkę.
(Robota szydełkowa $\frac{2}{3}$ oryginalnej wielkości).

Odp. pani Czer...

Zużle do wędzenia należy wybrać z komina od pieca palonego drzewem. W obec dzisiejszego ogrzewania węglami jest to dość trudne do zdobycia. Na Starem mieście są sklepiki z wiktuałami, gdzie można dostać sadzy w drewnianych pudełkach, sprzedawanych do robienia szuwaku—może dostanie tam i zużli — w każdym razie sadze oddają te same usługi co zużle. — Marki w liście nie było.

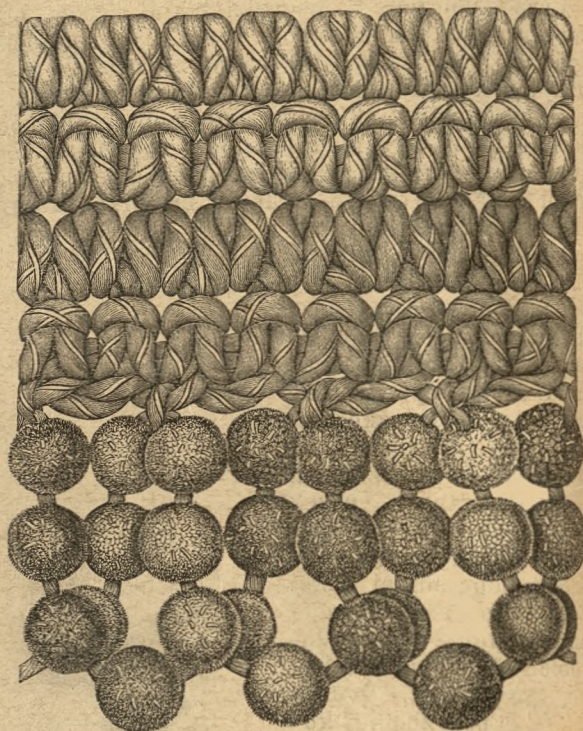
Odp. pani Budk... z Wołynia.

Samowarów papierowych jeszcze w Warszawie niema, nie omieszkamy panią zawiadomić jak będą.

Koafiury z kolibrów noszą najmłodsze panie—dostać je można u pani Bosz, Wierzbowa Nr 2, lub w fabryce piór Hańczkiewicz, Tłomackie.

Suknie czarne ubierają dziś tylko koronkami i wstążkami—najczęściej cała spódnica bywa z koronki.

L. C.



Nr 24. Część kołderki na wózek lub kolebkę.
(Robota szydełkowa) zmniejszona

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa z suszonego lub koserwowanego szczawiu z jajami faszerowanymi.
2. Ozór lub pekefleisz z chrzanem, purée z grochu.
3. Potrawa z pulard z sosem.
4. Sarna z komputem.
5. Ciastka z kremem.

Korespondencya.

Odp. pani Gr... w Dębicy.

Sposób odcukrzania likieru znajduje się obszernie opisany w 13-em wydaniu „Jedynych praktycznych przepisów“ na str 227.



Nr 22. Serwetka w stylu „rococo.“ (Ścieg gobelinowy do ryc. Nr 19 i 20).

WYDAWNICTWA

L. Cwierczakiewicz.

1. Kolęda dla gospodyń. Kalendarz na rok 1890 (rok 15-ty), kop. 50.
2. „Kurs gospodarstwa wiejskiego i miejskiego dla kobiet“ (wydanie 2). Cena rsr. 1 kop. 40.
3. „365 Obiadów“ (wydanie 15) rsr. 1 kop. 50. W oprawie rsr. 1 kop. 65.
4. Jedynie praktyczne przepisy konfitur, marynat, wędlin, ciast, wódek, likierów, za które autorka nagrodzoną została medalem srebrnym na Wystawie przemysłowej) wydanie 13). Cena rsr. 1 kop. 30.
5. Nauka kwiatów bez pomocy nauczyciela z 239 rycinami. Cena rsr. 1.

UWAGA.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w tym, oraz 6 i 7 numerze Bluszczu podać się mające.